

Janusz Domagalik

Irminda

Imię to przecież tylko hasło, znak, wywoławczy. Więc powiedzmy: Marek. Powiedzmy – Irmina. Ale wokół nich inni: jak w ciepłe popołudnie na ruchliwej ulicy tasują się – jakby z pomieszanych przedziwnie talii kart – twarze, gesty, słowa. I w tym tłumie każdy jest i nie jest sam. Jak to w życiu albo w książce, jak na ulicy.

PORA WAKACJI

- Do czegoś się idzie. Po drodze spotyka się innych, czasami wymijając ich szybko, kiedy indziej idąc jakiś czas obok.
- Albo pozwalając im się Wyprzedzić...
- Do czegoś się idzie, nigdy z góry nie wiedząc, z kim się tam dojdzie, nie wiedząc nawet, kiedy wypadnie stwierdzić: już jestem.
- I równocześnie, w tej samej chwili znów idzie się dalej, z kimś albo przeciw komuś.

I

Otwarte szeroko okna, upał. Lekko zasunięta zasłona ani drgnie, z dworu nie dochodzi żaden podmuch. Tylko mały skrawek pokoju trochę ocieniony, reszta zalana słońcem, jak plaża.

Duszno. Dopiero teraz czuję, że mokra koszula oblepia mi plecy, na ulicy nie zauważyłem tego. Próbuję usiąść w foteliku, ale muszę zrezygnować: jest nagrзany od słońca, wydaje się, że drewniane poręcze aż parzą. Więc staję na środku pokoju, w pełnym słońcu i wtedy słyszę:

- Zasuń w obu oknach zasłony. Bardziej duszno już i tak nie będzie...
- Sądziłem, że śpisz.

Irmina nie odpowiada.

- O czym myślisz? Powinnaś spać. Lekarz kazał...

Mówię te słowa i dźwięczą mi jakoś fałszywie. Czuję, że są po prostu niepotrzebne. Przecież i tak mi nie powie, o czym myśli, przecież gdyby mogła, toby spała. A jednak mówię to, żeby usłyszeć jakąś odpowiedź.

- Irma, jak się czujesz?
- Zasłoń okna...

Tracę cierpliwość. Nie chodzi mi o dzisiaj czy wczoraj, O te parę dni jej choroby.

Mogę wytrzymać jeszcze trzy dni i jeszcze piętnaście. Takiej cierpliwości mi Wystarczy. Ale zabraknie innej, o wiele bardziej potrzebnej: pewnego dnia zrezygnuję z oczekiwania na to, żeby coś się między nami zmieniło, przestanę myśleć o mojej siostrze jako o kimś, kogo chciałbym zrozumieć.

Mama powiedziała do mnie któregoś wieczoru:

- Nie mam już do niej sił. Wiem, że teraz jest chora, ale z trudem powstrzymuję się, żeby jej nie powiedzieć tego, co przyszło mi do głowy i nie chce odejść...

- Mnie też nie musisz tego mówić.
- Dlaczego? Skąd wiesz, o co mi chodzi?
- Nie chcę wiedzieć.

– A jednak powiem ci to. Słyszysz? Powiem! – mama zaczyna się unosić i chociaż drzwi kuchni, w której siedzimy, są zamknięte, boję się tego podniesionego głosu: Irma usłyszy.

I wiem, że mama tego właśnie chce. Chce, żeby usłyszała niby przypadkiem. Mamie wydaje się pewno, że słowa wypowiedziane w podenerwowaniu łatwiej będzie można kiedyś, jeśli się zechce, wymazać z pamięci, przekreślić jakimś zwyczajnym: nie myśl o tym, to było w złości. Myli się albo raczej patrzy na innych przez obraz samej siebie. A ja wiem, że Irma nie zapomni, jeśli już raz usłyszy. Niczego nie zapomni.

– Ciszej! – mówię. – Nie krzycz tak. Wiesz, że lekarz kazał jej spać, dużo spać...
W mamie odzywa się pielęgniarka. Jeśli się powie: lekarz kazał – pomaga. Lekarz to jest dla niej ktoś, kto się liczy. Jaki by nie był, zawsze jest kimś. Odkryłem to już dawno. I teraz też pomogło: mama ścisza głos, milknie.

Dopiero po chwili, ale już spokojniej:

– Jednak powiem. Żebyś i ty wiedział. Męczy mnie myśl, że Irma w tej właśnie chorobie pokazuje nam, jaka jest naprawdę. I chce nam to pokazać, specjalnie. Żeby potem, kiedy wyzdrowieje, znów udawać... udawać, słyszysz? Boję się, że nie znam tej dziewczyny. Ani ty, Ani nikt...

– Nikt? – pytam.

Mama zastanawia się przez chwilę.

– Nikt chyba... Dziadek też nie.

A ja wiem, że nasz dziadek zna Irmę, Bardzo dobrze ją zna. Nie potrafiłbym powiedzieć, skąd wiem i od kiedy, ale przecież nie jest mi to do niczego potrzebne. I tak nie będę mamy przekonywał. Ważniejsze byłoby zrozumieć, od kiedy ona i ja zaczęliśmy się z Irminą mijać. A jeśli nie mówimy o; tym, jeśli nawet nie mamy odwagi głośno tego nazwać, to może wcale nie jest takie jasne, kto tu winien. Dlaczego właśnie to słowo przyszło mi do głowy: winien?

– Chcesz coś powiedzieć? – pyta mama. – Tak?

– Ja?

– Przecież nie ja.

– Właśnie. Nie ty. Więc i ja nie. Niczego nie chcę powiedzieć. Albo chcę... Boisz się, że nie znasz Irmy. Tak przecież powiedziałaś: boję się. Co to znaczy? Czego się właściwie boisz?

– Niczego, tak się tylko mówi.

A po chwili:

– Nie. Jednak się boję. Bo nie wiem, co w tej dziewczynie siedzi, co ona może zrobić... Nie znam jej, po prostu.

– Albo co już zrobiła.

– Co masz na myśli? – i czuję na sobie bardzo uważne spojrzenie, mama jest napięta, jakby cała rozmowa po to „właśnie była, żebym teraz powiedział to, co jej się wydaje, że mogę wiedzieć.

– Oj, mamo – mówię – czego ty chcesz? Nie znamy Irmy, no to nie znamy i już.

A mnie znasz? Wiesz, co ja mogę zrobić? Albo co zrobiłem? Powiedz, wiesz?

– Daj mi spokój. Z tobą nie można rozmawiać...

– A tak znów wiele razy próbowałaś? Ze mną albo z Irminą?

I na tym się skończyło. Dobrze, że Irmina niczego nie słyszała, chyba dobrze. A ja zostałem ze swoim przekonaniem, że nie tylko nasz dziadek zna Irminę. Że jest jeszcze ktoś, kto zna moją siostrę inną, niż ja znam, kto wie o niej tyle, ile ja nigdy się nie dowiem. I tego właśnie nie mogę mu darować.

Zasuwam w obu oknach zasłony, tak jak Irma tego chciała. Nie będzie chłodniej, ale może zacznie się tak wydawać.

I mówię:

– Zostałaś przyjęta do liceum. Zdałaś i jesteś przyjęta. Lista wisi na drzwiach naszej szkoły. Zupełnie tak samo, jak rok temu, kiedy ja zdawałem. Zadzwoń do mamy i powiem jej...

– Nie trzeba. Już dzwoniłam.

– A skąd wiedziałaś?

Nie odpowiada. Więc podnoszę głos:

– Skąd wiedziałaś, że jesteś przyjeta? Listę wywieszono jakieś dwie godziny temu!
– To wystarczy.
– Był tu ktoś? – pytam niby spokojnie, ale przecież nie zmyli jej ten udawany spokój.
– Był Zawistowski, tak?
– Powtarzacie się... – mówi Irmina i ma nieprzyjemny, zły głos. – Powtarzasz dokładnie to samo, o co pytała mama: był ktoś u ciebie? Był. I co? Pewno żałujesz, że, zapomniałeś zamurować drzwi? Zrób to jutro...
Nie wiem, jak to się stało, ale dopiero w tej chwili dostrzegłem te akacje. Gliniany wazon postawiła obok tapczanu, na podłodze. Stolik trochę zasłaniał, może dlatego nie zauważyłem. Ale teraz, kiedy już widzę, wydaje mi się, że – czuję zapach akacji. Gałęzie są zwiędłe, opadają z nich kwiaty.

II

Nagle tracę ochotę do kłótni to nie ma sensu, nie będę z nią rozmawiał. Chociaż... jeszcze jedno pytanie muszę zadać. I robię to po chwili.
– Dziewczyny chcą cię odwiedzić. Czeremcha z siostrą. Czekają na ulicy. Iść po nie? Irma siada na tapczanie, gwałtownie, jakby chciała zerwać się z niego i biec gdzieś.
– Nie! Słyszysz: nie!
– Co ci się znów stało? Co ty masz przeciwko nim? Przecież chcą cię po prostu odwiedzić...
– Leć do swojej Kasi i powiedz, jak wyglądam! Pękają z ciekawości, czy bardzo zbrzydłam, tak? Więc Opowiedz im! – Irmina wybuchła płaczem i rzuca się na poduszkę. Teraz znowu żal mi jej. Raz jestem wściekły, raz mi jej żal, nie mogę zrozumieć, co się z tą dziewczyną dzieje, i chętnie płakałbym razem z nią, gdyby to cokolwiek pomogło.
– Uspokój się, Irma – mówię. – Nie chcesz, żeby przyszły, to nie. Wyjdę na chwilę z psem i zaraz do ciebie wracam...
– Możesz nie Wracać. Zostań ze swoją Czeremchą. Tylko daj mi lekarstwo...
Idę do kuchni po kompot i niby po tabletki. To jakiś środek nasenny czy uspokajający. Lekarz kazał jej brać trzy razy dziennie. Ale mama powiedziała:
– Schowaj to dobrze. Tak, żeby nie mogła znaleźć. I sam jej dawaj, po jednej... Rozumiesz?
Zrozumiałem. I za najlepszy schowek uznałem moją własną kieszeń. Ale chociaż nośnię te tabletki przy sobie, nie chciałem, żeby Irma wiedziała o tym. Były niby gdzieś w kuchni. Więc przyniosłem szklankę kompotu, tabletkę i ręcznik umoczony w wodzie.
– Masz! Połknij i leż spokojnie. Wytrzymaj sobie oczy...
I wtedy nagle usłyszałem:
– Nie cierpię was.
Jestem zaskoczony. Nie tylko słowami, ale i jej spokojem, zimnym tonem.
– Kogo? – pytam.
– Was wszystkich.
– Co to znaczy?
Patrzy na mnie. Podnosi rękę tym swoim dawnym ruchem, jakby chciała odgarnąć włosy, których teraz przecież nie ma. Więc dłoń zatrzymuje się bezradnie.
– Sama nie wiesz, co mówisz. Wszystkich! To przecież nic nie znaczy, Irma... – i muszę nagle urwać, przerywa mi ostrzej, niż mogłem się spodziewać.
– Wyjdź. Bo usłyszysz coś, co będzie znaczyło. Marek, będziesz żałował...
Nie wiem, co może powiedzieć, ale chcę, żeby to się stało. Niech wreszcie dowiem się czegoś o niej, czy może o sobie, cokolwiek ma na myśli, niech to wreszcie usłyszę. Ale Irmina już się opanowała. I znowu ten spokojny ton:–
– Powiem ci tylko, że nie kocham naszej mamy. Nie chcę, nie potrafię. Słyszysz?

Tylko. Więc co jeszcze mogła powiedzieć? Co jeszcze? Odwraca głowę i wiem, że już niczego nie usłyszę.

– Rozumiem... – mówię po chwili, żeby cokolwiek powiedzieć. Jest mi nieprzyjemnie, jakoś dziwnie.

– Nic nie rozumiesz. Idź stąd...

Rozgrzane powietrze aż zatyka oddech.

Upał wzmaga się, pachnie rozmiękły asfalt. Nora niechętnie ze mną wychodzi. Jeszcze w bramie waha się, jakby chciała zawrócić. Z psem dzieje się coś niedobrego, jest ospały, leży całymi godzinami przy tapczanie Irminy albo snuje się po mieszkaniu. Od Irmy do pustego pokoju dziadka. I znowu: tam i z powrotem. Upał winien? Wiem, że nie tylko upał.

Kiedy dziadek ostatni raz wychodził z domu, Nora zaczęła przejmująco skowyczeć i wszystkim zrobiło się nieswojo, choć każde z nas na swój sposób starało się to ukryć, zaga- dać. Tylko dziadek znalazł się, jak należy. Poglaskał psa i powiedział:

– Przestań pisać! Przecież nie jesteś już szczeniakiem...

Więc teraz, na ulicy, mówię do Nory:

– No, co ci jest, starucha? Pobiegaj trochę... Rusz się, szukaj Kaśki! Nora, szukaj...

Podnosi łeb, ożywia się nieco. Zaczynam biec chodnikiem i wołam psa. Odwracam się: pędzi za mną, głośno szczekając. Już jest obok, wyprzedza. Pot zalewa mi czoło, ale nie zwalniam, biegniemy razem.

Tu gdzieś powinna być Katarzyna ze swoją siostrą. Może poszły do cienia, w stronę skarpy? Skręcamy w boczną ulicę... Są, tam na końcu, już je widzę. I Nora też. Nie mogę zła- pać tchu, przystajemy.

– Irmina śpi...

Chyba mi nie wierzą. I nie dziwię się im wcale, już drugi raz zmyślam to samo.

– Przyjdziecie kiedy indziej, jutro, pojutrze...

Czeremcha jakby nie słyszy. Ale po chwili kiwa głową.

– No, tak. Oczywiście... Wpadniemy do niej kiedyś. Popatrz! – mówi i wskazuje ręką w stronę skarpy. – Ludzie są straszni. To świństwo ścinać kwitnące drzewo.

Spoglądam w tamtą stronę: na samym rogu ulicy leży na ziemi obcięty konar wielkiej akacji. Może zasłaniał zakręt, ktoś uznał, że trzeba obciąć. Parę osób, pewno z pobliskich domów, korzysta z okazji: obrywają resztki kwitnących gałęzi, choć są już przywiędłe. Tak jak tamte w glinianym wazonie u nas w mieszkaniu. Teraz już wiem. Więc tędy przechodził... Tutaj zerwał dla niej parę gałązek. Skąd mu to przyszło do głowy? Zawistowski z gałązkami akacji w ręku. Musiał wyglądać śmiesznie, głupio. I chyba zdawał sobie z tego sprawę. Dla- czego to zrobił, po co?

Podeszliśmy do obciętego drzewa.

– Pachnie – powiedziała siostra Kaśki. – Ale jakoś tak dziwnie... To chyba przez ten upał. Od razu wszystko więdnie i schnie. Masz rację, że ludzie są świnię. Musieli ścinać?

– Pachnie sianem! – uznała Katarzyna. – Marek, prawda?

– Tak jakby...

Ale zaraz zaprzeczyłem.

– Nie! Wcale nie sianem.

– A czym?

Nie wiem, skąd mi to przyszło do głowy:

– Pachnie latem.

Patrzyliśmy chwilę na psa, który wlaź między, gałęzie i szarpał je na wszystkie stro- ny, jakby chciał cały ten olbrzymi konar odciągnąć stąd w inne miejsce.

– Nora! – zawołałem. – Wychodź, słyszysz?

– Może pojedziemy na basen? – zaproponowała Katarzyna. – Przecież już wakacje, mamy czas, nigdzie nam się nie spieszy.

- Dobry pomysł! – pochwaliła ją siostra. – Trzeba się wreszcie zacząć opalać. Jestem biała jak śnieg.
- Tak. Zeszłoroczny. I nie gadaj tyle, bo i tak jeszcze nie wiem, czy zabierzemy cię ze sobą... – Katarzyna zawiesiła głos i spojrzała na mnie.
- Ja nie jadę z wami! – powiedziałem.

III

Jestem zaskoczony własnymi słowami prawie tak, jak one. Przecież od rana myślałem o tym, żeby znaleźć się jak najszybciej na basenie albo nad Wisłą. A teraz nieoczekiwanie usłyszałem od samego siebie, że nie mam na to ochoty.

– Dlaczego? – pyta Czeremcha. Patrzy na mnie ze złością. – Dlaczego nie chcesz jechać? Potrafisz coś wymyślić? Wysil się, słuchamy.

– On się pewno boi, że będę wam przeszkadzała... – mówi jej siostra i zaczyna robić miny. – Wielkie mi coś: zakochani. Mnie tam nie interesują takie rzeczy. Ja nie jestem Irminą...

Chwytam ją ostro za ramię.

– Coś ty powiedziała?

– Zamknij się, idiotko! – mówi Czeremcha. A do mnie: – Puść ją! Pytałam, dlaczego nie chcesz ze mną jechać?

Mam dość całej tej rozmowy. Gwizdnąłem na psa, raz i drugi. Przybiegł wreszcie.

– Jak ty się zachowujesz, Marek? Idziesz ze mną, czy nie? – Katarzyna ledwo się hamuje. – Tylko ze mną, słyszysz?

Wzruszyłem ramionami. Może i chciałem coś rozsądnego odpowiedzieć, ale nic nie przychodziło mi do głowy. Zupełnie nic. Spokojnie odszedłem.

Straszliwy upał, nawet od Wisły nie czuje się najmniejszego chłodu. Na jej praskim brzegu tysiące ludzi na plaży, ogromny tłum. Tutaj, z tej strony rzeki jest prawie pusto. Idę ulicą, z rzadka ktoś mnie mijają. On mnie, czy ja jego? Teraz to nieistotne, spotykam przecież ludzi obcych, nieznanym. Co innego wczoraj: tu gdzieś, w tym właśnie miejscu spotkałem Zawistowskiego. Chciałem go wyminąć i on chyba tego samego chciał. Ale to nie takie proste. Więc stanęliśmy naprzeciwko siebie, jak na kowbojskim filmie...

Stoimy tak, w samo południe, na pustym wiślanym nabrzeżu i musimy ze sobą rozmawiać, choć żaden nie ma na to ochoty.

– Jak to było? – pyta Zawistowski. – Powiedz mi, co się stało Irminie? Co ona sobie zrobiła?

– To był głupi wypadek, zupełnie – bezsensowny...

Nie wystarcza mu taka odpowiedź. Patrzy na mnie i czeka. A ja milczę. I myślę: jak to się stało, przyjacielu, że nie stoimy już obok siebie, jak dawniej? Co nas ustawiło przeciwko sobie? Czy to „coś” tkwi bardziej w tobie czy we mnie? A może jest poza nami? A może na tej scenie, po której poruszamy się obydwoj, akcja sztuki wcale nie jest tak bardzo zależna od nas, jaki nam się wydaje?

Gdyby tak było, nikt nie mógłby nigdy czuć żalu do drugiego człowieka, nie mógłby, do samego siebie mieć pretensji. A jednak czuje żal i ma pretensję. Tamto byłoby zbyt wygodne, a to, co jest, zbyt trudno czasem przełożyć na słowa. Więc kiedy tak stoimy przeciwko sobie, mówiąc niby o tym samym nie rozumiemy się nigdy. Na tym pustym, wiślanym nabrzeżu nie jesteśmy przecież sami. Pomiędzy nami zawsze będą ci inni, których w matematyce zdarzeń nie da się odjąć, jeśli już raz zostali dodani.

– Dlaczego urwałeś? – pyta Zawistowski; – Powiedziałeś, że to był bezsensowny wypadek. Mów dalej!

Czego ty właściwie chcesz się dowiedzieć? – myślę. – I po co? Martwisz się o nią?

A czym ona jest dla ciebie? To zresztą niewiele mnie obchodzi. Ważniejsze, znacznie waż-

niejsze, czy ty jesteś kimś dla niej? Ale tego i tak się nie dowiem. A w każdym razie nie od ciebie.

Mówię spokojnie:

– Irma umyła włosy. Chciała je wysuszyć. Już parę razy dziadek zwracał jej uwagę, robił awantury o ten idiotyczny zwyczaj suszenia włosów nad piecykiem. Zawsze tłumaczyła: ja przecież trzymam z daleka, nic się nie stanie... Tym razem dziadka nie było. Wiesz, że jest w szpitalu. Irmina zapaliła gaz, płomień był niewielki. Przesypywała włosy między palcami, pochylił głowę? Nagle buchnęło... Zasłoniła usta rękami, na szczęście. To wszystko.

– Gdzie ty wtedy byłeś?

– Stałem w drzwiach.

– Bardzo poparzona?

– Nie. Zniszczone włosy. Ostrzygli ją przy opatrunku. Będzie chyba miała ślady oparzenia na czole z boku. Zasłoni włosami, jak odrosną...

– Rozumiem...

– Co rozumiesz? – zaczynam podnosić głos. – Co ty możesz rozumieć? Straszny był ten krzyk. Nie płomień. Płomień momentalnie ugasilem, to była sekunda. Straszny był krzyk. Zatykałem jej usta ręką, tak krzyczała. Lekarz mówił, że to był szok. Jeszcze coś chcesz wiedzieć? Nie?

Odwróciłem się i zacząłem odchodzić. Ale po paru krokach przystanąłem.

– Słuchaj, coś ci jeszcze powiem. Albo nie... wystarczy. I jeśli komuś powtórzysz, co usłyszałeś...

– Jesteś dureń!

– Niech będzie. A teraz pryskaj stąd... – odpowiedziałem. – Mam nadzieję, że podczas wakacji nie będę musiał cię spotykać. Nawet jeśli nie wyjedziesz z miasta. Warszawa duża. I odczep się od Irminy. Odczep się, Zawistowski, bo...

– Marek... – zaczął, jakimś zupełnie innym tonem.

I wtedy nie wytrzymałem. Powiedziałem to, co najbardziej chciałem ukryć. Jeszcze przed chwilą, kiedy go tu spotkałem, przysięgałem sobie w duchu nigdy nie przyznawać się, że o tym wiem.

– Ty, słuchaj no... Ta historia z włosami zdarzyła się w poniedziałek po południu. Irminy nie było w domu od soboty rano. W poniedziałek wróciła z wycieczki szkolnej. Na której nie była. Rozumiesz mnie, Zawistowski? Matka nie domyśla się albo woli się nie domyślać. A ja wiem, że Irma nie pojechała na tę wycieczkę.

Zawistowski poszarzał nagle, w jednej chwili zrobił się jakiś drewniany. Wyciągnął rękę, jakby chciał... nie wiem co, zupełnie nie wiem, po co wyciągnął dłoń.

– Marek, daję ci słowo...

– Odejdź! – powiedziałem,

A dzisiaj ta akacja w wazonie. Zwiędłe gałęzie, które pachną już latem. Nora patrzy na mnie ciężko dysząc. Wywala język, pić jej się chce, nie pojmuje, dlaczego tu stoimy. Wyjmuję z jej czarnych kudłów akacyjne płatki i zeschnięte liście. Poprzyczepiały się, kiedy szarpała gałęzie obciętego konaru.

– Do domu, Nora! – mówię. – Idziemy do Army...

Pies cieszy się, ma już dość tego spaceru. Rozumiem go.

IV

Zostałem sam i teraz już wiem o tym. Kiedy wychodzę na ulicę, mogę iść w dowolną stronę. A to znaczy: nigdzie. Kiedy zawracam... i tu nikt nie czeka. Kto mi pozatrząskiwał te wszystkie furtki wokół mnie, których nawet nie dostrzegalem, dopóki były otwarte?

Snuję się każdego dnia po ulicach, wakacje przecież. Koniec roku, wymęczony ostatnimi zajęciami, walką o stopnie i wszystkim tym, czego ma się już wtedy w szkole zupełnie,

aż do obrzydzenia dosyć, zaraz po pierwszej godzinie wakacji rozmazuje się dziwnie łatwo. I cała historia z Markońcem minęła jakby bardzo dawno. Więc i to się skończyło, jeszcze jedna furka zamknięta i nie chcę oglądać się za siebie.

Kiedy przychodzą wakacje, ulice niepostrzeżenie tracą swoją zwykłą barwę. Może kolor miastu nadają włosy dziewcząt? Więc kiedy w lecie miasto pustoszeje, żadne neony nie dadzą mu tylu barw, co jedna rozkrzyczana klasa szkolna wysypująca się po lekcjach na ulicę, choćby nieładną i brudną.

I tak sobie myślę, że dobrze byłoby umieć namalować wszystko to, co się widzi, własnymi kolorami, jakich nikt inny nie zna, ale dobrze również, że tych moich myśli nikt nie może usłyszeć. Chyba dobrze.

Jestem więc sam. W tym mieście z dnia na dzień coraz bardziej wyludnionym przez letnie wyjazdy, na ulicach rozgrzanych zakurzonym skwarem, i sam w domu. Mam dużo czasu, zbyt dużo dla mnie samego i nie ma z kim podzielić się... to dziwne: swoje myśli chciałbym zachować tylko dla siebie, dlaczego więc mój czas bez innych jest taki pusty?

Gdzieś tam chłopcy może mówią o mnie. Kmita, Markoniec, Kowal. I inni. Chyba źle mówią. Wzruszają ramionami: wariat. Co on zrobił? I po co, dlaczego? Może dyrektor już zdecydował, że wyrzuci mnie ze szkoły, i oni o tym wiedzą. A ja dowiem się, kiedy miną wakacje.

Gdzieś tam... nie gdzieś tam, tylko w moim domu może Zawistowski rozmawia o mnie z moją siostrą? Wzruszają ramionami: szczeniak. I tylko tyle? A Katarzyna? Ona też tak pewno myśli: smarkacz. A moja mama? Może o tym, żebym nie zapomniał kupić chleba, masła, cukru. Tak. I rzodkiewek. To przecież takie ważne: kupić rzodkiewki. Więc kupuję i idę z nimi do domu. Jeśli zastanę tam Zawistowskiego, wyjdzie bez słowa. A jeśli go nie będzie? Wtedy ja wyjdę. Więc właściwie po co mam iść do domu. Zawracam.

Nowy Świat, Aleje... Warszawa duża. Powiedziałem to Zawistowskiemu, ale on nie musi snuć się bez celu ulicami. Idę, oglądam wystawy, jem swoje rzodkiewki, choć nie miałem na nie ochoty, i piasek trzeszczy mi w zębach, przystaję przy czerwonych światłach i ruszam dalej, kiedy zapalają się zielone.

– Cześć, Marek.

– Cześć...

Żeby ja wiedział, jak mu na imię? Ale nie pamiętam. To ten bramkarz „Błękitnych”, z Mokotowa. Uśmiecha się, jakby spotkał przyjaciela, i nie wiadomo czemu zatrzymuje się, choć nie jest sam. Dziewczyny, z którymi szedł, robią jeszcze parę kroków i przystają koło kiosku.

– Nie wyjechałeś z drużyną do NRD?

– Nie. Jak widzisz.

– Dlaczego?

– Zachorowałem. Nagle, na anginę... – zmyślam.

– Szkoda! Szkoda takiego wyjazdu.

Powiedział to tak, jakby zmartwił się szczerze. On się martwi, że ja nie wyjechałem?

Jakżesz on może mieć na imię? Nic mi do głowy nie przychodzi. A zresztą, po co mi wiedzieć?

– Czekają na ciebie – mówię. – Twój harem?

– Takie tam. Ale miłe. Gawędziary...

– Kto?

Śmieje się z mojego zdziwienia, a może z mojej miny.

– Mówię przecież wyraźnie: gawędziary. Z zespołu „Gawęda”.

– Jest taki zespół?

– Dziewczyny! – woła. – Chodźcie tutaj i brońcie się same. – A do mnie: – Chcesz je poznać?

Chcę czy nie chcę, już jest za późno. A zresztą, wszystko mi jedno.

– Sylwia.

– Irena.

– Dlaczego mamy się bronić?

– On nie słyszał o „Gawędzie”.

– Jego strata.

Trzecia z dziewcząt nie powiedziała swojego imienia. Stoi trochę z boku. Szczupła, chyba nieładna. Odchyła głowę i lekko mruży oczy.

– Przepraszam was – mówi – ale ja już muszę iść...

Tylko ja patrzę za nią, widzę, jak skręca w Kruczą, jest dość wysoka, skoro jej jasne, rozwiane włosy tak długo widać w tłumie.

– Wystraszyłeś ją, czy jak? – słyszę. – Przecież, miała iść z nami na lody...

– Możliwe. To cześć. Ja też się spieszę.

– Dokąd? – dziwi się. – Przecież wakacje...

– Właśnie, wakacje. Do szpitala.

Idę ulicą Kruczą i myślę o tym, że pewno i ci mówią teraz o mnie. Wzruszają ramionami i mają rację. Po co idę za tą dziewczyną? I w tej dopiero chwili uświadamiam sobie, że właśnie to robię: idę za nią. Mijamy Grand Hotel, dzieli nas od siebie tylko parę kroków, więc zwalniam nieco, żeby jej nie dogonić.

Przed hotelem gęsto od zagranicznych wozów, nie mają gdzie parkować, bałagan.

Podjeżdża autokar, może z lotniska. Sterty walizek, zamieszanie. I portier, który kłania się w drzwiach, nie wiadomo komu, na wszelki wypadek wszystkim naraz.

– Przejść, psiakrew, nie można! – mówi ktoś obok mnie. – Starczyło pieniędzy na hotel, a zabrakło pomysłu na parking.

– Właśnie. Po co to tyle tego zjeżdża do Warszawy? – dziwi się kobieta obładowana siatkami.

– Nie do pani, to pewne! – odpowiada wysoka brunetka w krótkiej spódnicy i śmieje się bardzo głośno.

– Same dziwki wszędzie... – mruczy ktoś pod nosem. – Same dziwki.

Rozmowa – myślę sobie. – Ludzie idą ulicą, ludzie rozmawiają. Idą obok siebie, przeciskają się razem między samochodami i właśnie tyle mają sobie do powiedzenia. I chce im się to mówić?

Przyspieszam. Mijam staruszkę z wiadrem pełnym kwiatów, pewno z działki, Rozgląda się nerwowo. Niedużo tu utarguje, a strachu się naje, bo milicja przegania.

I przypomina mi się nagle, jak na Starówce kupowaliśmy z Katarzyną konwalie, to było w maju. Sądziłem wtedy, że tak wiele się tego dnia rozpoczyna.

Jeszcze bardziej przyspieszam. Boję się, że dziewczyna, za którą idę, zniknie mi z oczu. A przecież wcale nie chcę jej dogonić.

Powiedziałem tamtym, że spieszę się do szpitala. To dobra myśl. Pojadę do dziadka, choć nie ma dzisiaj odwiedzin, jakoś się dostanę. Może powiem mu, że coś się dzieje wokół mnie albo ze mną, czego nie rozumiem, co drażni bardziej niż ten upał, i nie mam na to nazwy. Może powiem: dziadku, ty też tutaj jesteś Sam, porozmawiajmy... Nie. Przecież dobrze wiem, że tego nie powiem. Ale nie wiem dlaczego.

V

Znowu zielone światło, idziemy dalej. Dziewczyna, a za nią ja. To już ulica Mokotowska. Bardzo dawno tutaj nie byłem, bo po co. Mijamy dom numer 24, znam tę brudną bramę, parę lat temu też był tu remont. Na murze tabliczka: „Przegląd Sportowy”. I druga na żółtym tle: „Świat Młodych”.

Pamiętam dobrze: wysokie piąte piętro, winda zepsuta. Redakcja. I bardzo ładna,

uśmiechnięta pani krzyczy: „Wacuniu, zaprowadź go do Jurka!” I bardzo mały, w okularach, z fajką, który wysuwa się nagle z jakichś ciemnych zakamarków i mruży do mnie: „No i sam widzisz, na oko anioł, znaczy kobieta, a rządzi jak bosman na okręcie. Znaczy do Foto–Pstryka chciałeś, tak?” A w największym pokoju mecz ping–ponga. I taki bardzo chudy, wysoki odkłada raketkę, bierze w ręce aparat, który mu podałem, długo Ogląda i mówi: „Pytasz, jak robić tym zdjęcia... sam bym chciał wiedzieć. A co to w ogóle jest?” I ktoś się wtrąca: „Najlepiej to zbierać w tym znaczki pocztowe, bo dużo wejdzie”. A chudy do mnie: „To jest Chmiel, od razu widać, nie? Ten od Tytusa, podobny. I dowcipny, nie? Chodź, rozbierzemy tę maszynę...”

„Świat Młodych”, moja gazeta, cała klasa wtedy ją czytała. Zwariowana redakcja, do której zawsze można było przyjść z najbardziej dziwną sprawą. Choćby taką, jak ten aparat, który dziadek znalazł w rupieciach na strychu i nikt nie wiedział, jak go w ogóle otworzyć. Potem jeszcze parę razy odwiedzałem redakcję. „Świat Młodych”, jak to już było dawno...
– Słucham. No, słucham!

W pierwszej chwili nie rozumiem, o co jej chodzi. Stoimy przy księgarni na Placu Zbawiciela. Dziewczyna jest wściekła, potrząsa głową... teraz już nie mruży oczu. Więc nosi okulary. Zwykle, nie słoneczne. Kiedy je założyła?

– Chciałeś mi coś powiedzieć? Mów, ale szybko.

Zamyśliłem się i wpadłem na nią tak nagle. Musiała raptownie przystanąć. Dlaczego jest taka zła?

– Nic ci nie chciałem powiedzieć. Czemu krzyczysz?

– To czemu łazisz za mną przez całe miasto?

– Nie wiem. Może mi się podobasz?

– Ja?

– Ty.

– To nie ma nic do rzeczy. Zostaw mnie w spokoju i idź swoją drogą. Słyszysz?

– Słyszę. I właśnie idę. Przez cały czas. Wcale nie za tobą...

– Niby dokąd idziesz?

– Do Łazienek, na przykład... – mówię, bo akurat tylko to przychodzi mi do głowy. Jest trochę zaskoczona. Już nie podnosi głosu.

– Naprawdę szedłeś do Łazienek?

– Tak.

– Ja też tam idę.

– No, widzisz. To chodźmy. Po co tu stać?

Idziemy teraz obok siebie, ale bez słowa, osobno. Skoro nie chce, niech się nie odzywa – myślę sobie. – Po co ja idę do Łazienek? Przecież chciałem jechać do szpitala. Czy na pewno chciałem? Pojadę do dziadka jutro. Może nie będzie tak gorąco. Plac na Rozdrożu, więc teraz trzeba się zdecydować.

– Agrykolą chcesz iść, czy do głównego wejścia? Gdzie się umówiłaś?

– Niby z kim?

– Więc po co idziesz do Łazienek?

– Do szkoły. Zanieść metrykę, bo gdzieś Zgubili przy zapisach.

– Ty też jesteś z tej... „Gawędy”?

– Nie.

– A tamte dwie dziewczyny?

– Tak.

– Co one tam robią?

– Niby gdzie?

– W tym zespole.

– A co można robić w zespole? Tańczą. Śpiewają.

– Bez sensu – mówię.
– Dlaczego?
Nie wiem właściwie, dlaczego uważam, że to jest bez sensu, więc nie odpowiadam.
– A malowanie?
– Co malowanie?
– No, malowanie, rysunek... To ma sens?
– Ma.
– Naprawdę?
– Bardzo bym chciał umieć malować – mówię. – Zawsze chciałem. Ale nie potrafię.
Jaka szkoła mieści się w Łazienkach?
– Liceum plastyczne.
Jesteśmy już przy głównym wejściu do parku. Zdejmuje okulary, mruży oczy. – Jak ci na imię? – pytam.
– Czy to ważne? Żegnamy się, dalej idę sama.
– Marek – mówię.
Patrzy na mnie, jakby chciała coś powiedzieć. Ale milczy. Denerwuje mnie to.
– Skłamałem, bo wcale nie miałem zamiaru iść do Łazienek. Zmyśliłem to sobie. Szedłem za tobą.
– Wiem.
– Więc teraz pytam, jak ci na imię. Chyba słyszysz? Bo mnie Marek.
– I to też wiem. Nie wiedziałam tylko, że mnie nie znasz. Jesteś bratem Irminy, tak? Dlatego odeszłam od was, kiedy ten chłopak cię zatrzymał. Teraz chyba już nie będziesz szedł za mną, co?
.– Nie rozumiem...
– Nieważne! – przerywa mi. – I nie mam ochoty niczego ci tłumaczyć. Zostaw mnie w spokoju.
Wbiegła do parku, a ja odwróciłem się i poszedłem powoli Alejami, potem Agrykołą w dół i przez całe Powiśle pieszo do domu. Długo szedłem.
Najbardziej sam czuję się wieczorem, zanim wyjdę z Norą na spacer. Gra telewizor, Irmina włącza go teraz wcześniej. Ogląda albo nie ogląda. I milczy. Zdjęła już opatrunek, ale na ulicę nie ma odwagi wyjść. I nie dziwię się wcale. Jak to długo potrwa? Przecież nie będzie siedziała w domu, dopóki nie odrosną jej włosy. Takie włosy, jakie ona miała, chyba bardzo długo muszą rosnąć.
Mama nieczęsto jest z nami. Ciągłe dyżury. A jeśli nawet jest w domu, ma co robić. I wtedy już nie dwie, ale trzy osoby milczą. Gra telewizor, Nora pęta się pod nogami. Wakacje.
– Irma, nie mam do kogo gęby otworzyć, pogadajmy trochę... Irmina, znasz taką dziewczynę, która czasami nosi okulary, wysoką dość, taką szczupłą? Co ty jej zrobiłaś? Zwyczajne zdania, łatwe przecież i proste. A zresztą, te albo inne, jakiegokolwiek, dlaczego nie zostały powiedziane? Co mi przeszkodziło sto albo dwieście razy... nie, choćby tylko jeden raz pchnąć tę furtkę, którą... właśnie. Którą ona zatrzasnęła, Irmina? Czy ja? A może ktoś, kto wszedł między nas. Więc Zawistowski? A może coś, co się wydarzyło... choroba dziadka, afera z Markońcem. Coś, co nie zostało nazwane? Nie wiem.

VI

I znowu jeden dzień wakacji roztopił się jak to masło, które zapomniałem schować i w pełnym słońcu przeleżało na oknie. I taki sam był z tego dnia pożytek. Rano byłem u dziadka. Cały czas mówił o Irminie. Słuchałem tego i myślałem o sobie. Dziadek był ożywiony, wypytywał o wszystko, co w domu. I wszystko to dotyczyło Inny. Zmyślałem spokojnie takie odpowiedzi, jakich się spodziewał. Oczywiście, jeździ z Zawistowskim na basen, jak

przez cały czerwiec, pamięta dziadek przecież. Ładnie? Bardzo ładnie wygląda, dziadku. A w ogóle wszystko w porządku. Pewnie, że długo śpimy. Ale nie za długo, jasne, bo szkoda słońca. A wieczorem? Wieczorem wychodzimy z psem na spacer. Pewno, że razem. Przecież nie puszczę jej samej po nocy. Ale skąd? Kto by się nudził. Znakomite wakacje, dziadku.

Nie wiedział o wypadku Irminy, nie chcieliśmy go denerwować. Całe szczęście, że nie życzył sobie, żeby go odwiedzała, bo to pomogło nam ukryć przed nim jej chorobę.

– Dlaczego dziadek nie chce, żeby Irmina ty przychodziła?

– To jest męski oddział, czułaby się skrępowana. A w ogóle, co to za przyjemność chodzić do szpitala? Będą się na nią gapić... Przecież widzę, jak się te wszystkie chłopcy gapią na pielęgniarki. Ledwo tylko oczy otworzą po operacji.

– Na naszą mamę też?

– Zazdrosny jesteś? – i roześmiał się głośno. – Wasza mama jest tu oddziałową, to zupełnie co innego. Jej się boją jak ognia, bardziej niż ordynatora.

Powtórzyłem Irminie tę rozmowę.

– Bzdury, zawracanie głowy... – odpowiedziała, ostro.

– Co jest zawracaniem głowy?

– Wszystko.

– Z tobą się szalenie łatwo rozmawia, siostrzyczko. Wymiana myśli jest gładka i miła.

Po prostu sama radość, koncert dla ucha...

– Nie wyglupiaj się, Marek. O czym wy gadacie w tym szpitalu? Też problemy mają.

A jeśli chcesz wiedzieć, to dziadek zupełnie z innego powodu woli, żebym tam nie przychodziła...

– No?

– Co „no”? Ty sobie otwórz szeroko oczy i podeprzyj zapalkami. To może dojrzysz, co się dookoła ciebie dzieje.

– Chciałbym.

– Twoja sprawa. Ale mnie o nic nie pytaj.

– Dlaczego?

– Bo nic ci nie powiem.

Więc dobrze, będę sam. I bardzo lubię całymi dniami chodzić po ulicach miasta, wystarczy przecież w to uwierzyć i już nawet upał mniej męczy. Mam tyle czasu dla siebie i jakoś jednak daję sobie z nim radę. Dzisiaj Marszałkowska. Długa jest, zajmie mi parę godzin. Wczoraj obszedłem w koło Starówkę, posiedziałem trochę w zupełnie pustej katedrze, bo chłodno, pogapiłem się na budowę Zamku. Jutro... Nie wiem, co jutro. Warszawa nie jest jednak taka duża. Ale dzisiaj Marszałkowska.

Chodzę, więc, przystaję i znowu idę. Kupuję lody. Piję wodę z sokiem. Obok mnie zakonnica. Bardzo młoda, dziwne. Więc oglądam się za nią, kiedy odchodzi, i nagle słyszę:

– Pluń do tyłu przez lewe ramię, najlepiej trzy razy. Albo się przeżegnaj, jeśli potrafisz.

Przy straganie ze starymi książkami stoi profesor Orzechowski. Roześmiałem się głośno. A Pilaster pokazuje laską na moje nogi i pyta:

– Gdzie kupiłeś takie sandały? Szukam od paru dni.

– W sportowym. Dzień dobry. Dlaczego mam pluć do tyłu?

– W którym sportowym? Gdzieś blisko? Możesz zaprowadzić?

– Chodźmy. Ale co z tym pluciem, panie profesorze?

Pilaster odkłada książkę, którą oglądał.

– Drogo! – mówi do sprzedawcy. – Opuść pan trochę...

– Dołożę Klossa w obrazkach, po szwedzku – uśmiecha się tamten. – No, dobra: sto pięćdziesiąt. Bez Klossa.

– Biorę.

Odeszliśmy parę kroków.

– No, do widzenia – mówi Orzechowski. – Trzymaj się, pozdrów dziadka...

– Przecież mamy iść po sandały!

– A nie wiesz, za co je teraz kupię? Przecież wziąłem książkę. Innym razem. Dziadek zdrowy?

– W szpitalu.

– Mówiłem! – wykrzyknął stary. – Zakonnicę spotkać przed południem to zła wiadomość albo pechowy dzień do zachodu słońca. Nie cierpię zakonnic. Dlaczego nie splunąłeś? Co mu jest? Dziadkowi.

– Nie wiemy. Jest na obserwacji. Co to za książka, panie profesorze? Warto było tyle zapłacić?

– Wyczuł mnie, łobuz. Dałbym i trzysta. Dałbym jeszcze więcej. Warto. Ostatni egzemplarz spłonął mi w Powstaniu, razem z całym domem, rzecz jasna. Czasem sobie chodziłem, wiesz, do biblioteki uniwersyteckiej, żeby na to popatrzeć. Bo tam mają, nie wiadomo czemu. A dziś taki traf. Patrzę: leży na straganie. Przygoda, nie? Bardzo dobry dzień byłby, gdyby nie ta twoja zakonnica... Wiesz, co? Daj mu to.

– Komu? – pytam, biorąc książkę, którą stary mi podaje. Patrzę na lekko przyżółkłą okładkę. – To pan napisał? Szkice o Akropolis. Nie wiedziałem, panie profesorze...

– A co ty w ogóle wiesz? Tylko nie zgub. Daj dziadkowi, kiedyś mi odda... cześć.

I omijaj z daleka zakonnicę, radzę ci po starej znajomości.

Pilaster odszedł wymachując laską. A ja w przeciwną stronę. Idę i przeglądam książkę. Długa jest Marszałkowska, zawsze kogoś można spotkać. Choćby i zakonnicę. Albo i dziwną przygodę, jak Pilaster tego dnia... nagle zawróciłem. Zacząłem biec, żeby dogonić starego. Jest. Zatrzymało go czerwone światło przy Pięknej. Patrzy na ranie bez słowa, wcale nie zdziwiony.

– Panie profesorze, to ja... – zacząłem nie bardzo mądrze.

– Widzę, że ty. Nie zmieniłeś się przez te parę minut.

– Dlaczego pan to zrobił? Dlaczego pan mu daje tę książkę?

– Nie wiem... – powiedział Orzechowski. Ale dopiero po chwili. – Tak naprawdę to nie wiem. Wystarczy? A zresztą, co cię obchodzi? Twoja sprawa?

– Nie. Ale chciałbym wiedzieć. Zrozumieć...

VII

Stary opiera się o swoją laskę, obydwojema rękami, całym ciężarem. I patrzy na mnie.

– Ciekawe nawet... – mruczy.

Ma na twarzy nieprzyjemny, ironiczny grymas, znam to ze szkoły, bardzo często właśnie tak na nas patrzył, przyglądał się nam. Ale teraz nie jesteśmy w klasie, stoimy na rogu Pięknej i już wiem, że ten ironiczny dystans to była jego obrona. Nie wpadłbym na tę myśl, gdyby właśnie teraz nie przywołał na pomoc tego Samego tonu.

– Ciekawe. Więc potrafisz odróżnić „wiedzieć” od „zrozumieć”. A nie za dużo ty chcesz? Chcesz zrozumieć. Co?

Powalczymy troszkę, panie profesorze. Powalczymy – myślę. I czuję w sobie gwałtowną złość na tego człowieka. Albo raczej cała moja złość na wszystkich innych właśnie teraz, nagle, znalazła adresata. Kto im wszystkim dał prawo do tej ucieczki w dystans, głęboki dystans. Do tych ucieczek po każdym ciosie, który zadają?

Uśmiecham się nieoczekiwanie, bo wiem, że to zaskoczy starego.

– Przejrzałem książkę, kiedy pan odszedł. Tam jest wydrukowana dedykacja. Wydrukowana, panie profesorze. Dwa imiona i parę słów, których nie rozumiem. To nie po łacinie, prawda?

– Nie. Przynajmniej to wiesz. Jednak coś wynosicie ze szkoły...

– Właśnie. Powie mi pan, co te słowa znaczą?

– Nie.

– Więc niech pan weźmie tę książkę, panie profesorze. I sam ją dziadkowi zanieś. Do szpitala na Wołoskiej, chirurgia, trzecie piętro. Dlaczego mam robić rzeczy, których sensu nie rozumiem?

Zgasła cała jego ironia, jakby zdmuchnięta nagle. Teraz się obrazi – pomyślałem. Wziął książkę, wsadził pod pachę. Ale nie odchodził.

– Dlaczego pan mu chciał dać tę książkę? Z trudem zdobytą dopiero przed chwilą. Książkę, która dla pana czymś jest. Panie profesorze, dlaczego? Dawno się znacie? To była przyjaźń?

– Lubisz słowa, prawda? Słowa.

– Pytam.

– Wiesz, właśnie tak sobie myślę – zaczął Orzechowski zupełnie zwyczajnie, jakby opowiadał, co widzi po drugiej stronie Marszałkowskiej. – Tak myślę, że czasem robimy coś, a prawdziwa przyczyna tego tkwi gdzieś tam, dwadzieścia albo i czterdzieści lat temu. I jak się doszukać w tym sensu dzisiaj? Albo mówimy coś, co ma źródło w innej sytuacji i dotyczy innych ludzi. Tak jak ty do mnie mówiłeś przed chwilą. I nie jesteście rozumiani, to jasne. Nie uważasz?

Rozumiałem go chyba.

– Bo ja myślę, że składamy się z tego wszystkiego, co było, co w jakiś tam sposób za-trzymaliśmy w sobie. Ale nie musimy umieć tego nazwać, to nawet niemożliwe. Może to tak jest? Co?

Milczałem.

– No, to idź już w swoją stronę... A książki mu nie dam. Mnie jest potrzebna, nie jemu.

– Panie profesorze... dlaczego nie mówi się o takich sprawach w szkole?

– Co?

Stary spojrzał na mnie uważnie.

– Nie wiem... – powiedział. – Nie wiem, o co ci chodzi.

Wpadło to wszystko we mnie wypełniając jakiś pusty obszar. A jeśli nawet na ulicy można znaleźć przypadkiem coś, co wypełnia lukę albo ją tworzy, skoro ludzie nawet nie chcąc niczego powiedzieć mówią tak dużo, może w gruncie rzeczy nikt nie jest sam? Każdego z tych wieczorów, kiedy telewizyjny Wicherek zakładał rękę na brzuchu i kłaniał się, znikając z ekranu z nieśmiałym przypuszczeniem, że może już jutro będzie chłodniej, podchodziłem do okna, żeby być jak najbliżej telefonu. Wiedziałem, że zaraz zadzwoni ze szpitala dziadek. Codziennie tak dzwonił, tuż po dzienniku.

Komu z nas bardziej były potrzebne te rozmowy, krótkie i denerwujące, w których zdania rwały się, zanim zdążyły przekazać jakąś myśl? Dzwonił z automatu zawieszono-go w korytarzu, między schodami a drzwiami windy i kiedy słyszałem jego głos, jakbym go tam widział, otoczonego postaciami w niebieskich płaszczach założonych na szpitalne piżamy. Każde słowo przeznaczone dla nas trafiało do tamtych ludzi niecierpliwie czekających swojej kolejki do telefonu. Co mógł nam powiedzieć, o co mógł spytać? Czulem, że dziadek denerwuje się, że wiele go te rozmowy kosztują, a przecież dzwonił codziennie.

Kiedy pierwszy raz byłem u niego w szpitalu, staliśmy właśnie obok tego automatu, a koło nas przepływała fala odwiedzających. Jakiś chory, potrącany co chwilę przez ludzi, karmił automat kolejną monetą. A potem właśnie te urywane zdania, które wszyscy wokół słyszeli, i to beznadziejne usiłowanie, żeby choć przez moment, na jedno słowo być sam na sam z tamtą drugą osobą. I wreszcie słuchawka już zawieszona, a człowiek w niebieskim płaszczu stara się jak najprędzej ukryć w tłumie swoją twarz.

– Widziałeś? – powiedział dziadek. – Tak to jest. Głupie uczucie, nieprzyjemne.
– Ale jeszcze gorzej, jeśli nie ma telefonu i nie można dzwonić...
– Nie wiem. Myślałem dotąd, że najbardziej zawstydzą natrętne ludzkie spojrzenie.
Ale to jest gorsze. Bo jednak można się uścisnąć przy innych i nawet pocałować.
A najprostsze ciepłe słowa nie chcą przejść przez gardło, jeśli wiesz, że zostaną podsłuchane.
Nie wiedziałem, co mu odpowiedzieć.
– Albo takie odwiedziny w szpitalu. Trochę cyrk, trochę nieszpory. Przecież ci ludzie
jakby nie mieli o czym ze sobą rozmawiać.
– A w swoich domach mają o czym?
– Chcesz powiedzieć, że dopiero tutaj to sobie uświadamiają?
– Dziadek to powiedział, a nie ja. Co ja mogę wiedzieć? Może nie potrafią?
– Może. Więc jednak wiesz swoje. Może masz rację: nie potrafią.
Od tamtych odwiedzin co wieczór dzwonił do domu zaraz po dzienniku. Aż któregoś
dnia, kiedy tak stałem przy oknie i czekanie przedłużało się, a z telewizora słychać było szyb-
ki dialog od dawna wyświetlanego filmu, Irmina powiedziała nagle:
– Marek, denerwujesz się, prawda?
A skoro już to nazwała, zrozumiałem, że tak właśnie jest. I przyszło mi również do
głowy, że ona może chce, żebym zaprzeczył, chce sama siebie uspokoić. Ale nie umiałem
skłaniać.
– Tak.
– Przestań wyczekiwać, co ci to da? Mama dzisiaj nie przyjdzie, ma jakieś zastępstwo,
nocny dyżur. A dziadek pewno położył się wcześniej spać i dlatego nie dzwoni.
– Nie wierzę, Irma.
– W co?
– Ani w jedno, ani w drugie.
Chwila ciszy przedłuża się i teraz Irmina patrzy na mnie inaczej niż przed tą chwilą,
patrzy inaczej niż przez te wszystkie ostatnie dni.
– Ja też nie wierzę! – mówi. – Ale co na to poradzimy?
VIII
Telefon. Drugi dzwonek i trzeci. Żadne z nas nie podnosi słuchawki. Wreszcie ja to
robię. Jakiś obcy głos pyta o Irnę.
– Jest w domu – mówię. – Chwileczkę, zaraz poproszę...
Odkładam słuchawkę i mówię prawie szeptem:
– Sokołowska? Znasz taką?

– Kto? – Irmina otwiera szeroko oczy. Zdumiona czy przestraszona. Ale niby czego
miałaby się bać? Pyta: – Młody głos czy stary?
– Chyba młoda... Nie chcesz rozmawiać? To powiem, że się kąpiesz. No?
– A co to da? – mówi Irma i podchodzi do telefonu.
Przysłuchuję się uważnie, ale niewiele z tej rozmowy wynika.
– To ty... Nie wyjechałaś na wakacje? No, tak. Słuchaj, ja nie mogę wyjść... Nie. Jutro
też nie będę mogła, chora jestem. Przyjdź ty do mnie. Choćby zaraz... Możesz? Tak... sama.
Na pewno będę sama! To brat, ale on właśnie wychodzi...
Słucham zdumiony. Nigdzie nie mam zamiaru wychodzić. Chcę się odezwać, ale Irma
macha mi ręką, żebym nie przeszkadzał. Podaje adres, zaczyna tłumaczyć, jak się do nas
idzie, koniec rozmowy.
– Kto to był? Dlaczego ja mam wyjść z domu?
– Dziewczyna z mojej klasy. Zjesz coś szybko i wyjdiesz na godzinę.
– Ale dlaczego?
Irmina już jest w kuchni. Stamtąd mi odpowiada:

– Zrób to dla mnie. Powiedziała jej, że będę sama. Możesz sobie iść do Czeremchy!
– Dziękuję za pozwolenie. Po co tam pójde? Teraz, o dziewiątej. A zresztą pokłóciłem się z Kaśką...

– O co?

– O ciebie! – odpowiadam. – A właściwie nie wiem o co. Przez tę jej siostrą idiotkę. Nigdzie nie wychodzę i już!

– Chodź tu coś zjeść. I zaraz sobie pójdziesz. Zabierz psa, niech się przeleci. Słyszysz?

Zły jestem. Już wiem, że jednak wyjdę z domu. Może nawet rzeczywiście pójde do Katarzyny, wezmę jakąś książkę, żeby mieć pretekst. Ale właściwie dlaczego mam to wszystko robić?

– Po prostu dlatego, że ja cię proszę! – mówi Irmina i uśmiecha się do mnie.

Niewesoły ten uśmiech. Szybko kończę herbatę, wołam Norę i już bez słowa wychodzę. Tuż za drzwiami, ledwo je zatrasnąłem, usłyszałem dzwonek. To u nas, znowu telefon. Wróciłem. Pies został na schodach.

– Kto to? – pytam.

– Dziadku! Okazuje się, że Marek jeszcze nie wyszedł. Zaraz mu oddaję...

I do mnie:

– Masz. No widzisz, doczekałeś się jednak tego telefonu...

– Dlaczego tak późno? Co się stało? – zaczynam podnosić głos. – Niech dziadek nie pyta, co u mnie. Ważne, co u dziadka! No, więc...

– Nie krzycz – mówi dziadek. – Irma powiada, że właśnie wychodzisz z psem. Zrób długi spacer, niech się dotleni, co dzień te straszne upały. No, leć już. A jutro przyjdź do mnie przed południem, dobrze? I teraz daj mi Irminę... Chwileczkę! Mama jest?

Nie odpowiadam na to pytanie, bo nie wiem, co powiedzieć. Podaję słuchawkę Irmie:

– Dziadek pyta o mamę. Rozumiesz coś z tego wszystkiego? Odpowiedz mu i dajcie mi święty spokój. Wychodzę! Tam znowu pies szczeka i drapie w drzwi...

Z przedpokoju słyszę spokojny głos Irminy:

– Mama jest na nocnym dyżurze. Musiała dziadkowi mówić... Nie? Może jest na innym oddziale. A my tu zdrowi i cali. Marek zdenerwowany, bo pokłócił się z Kaśką... Trzasnąłem drzwiami z całej siły.

Czemu ty szczekasz, ofiario losu? – myślę ze złością. – Czego się bałaś? Dozorcy o tej porze nie spotkasz, bo pewno zalany, jak zwykle. Poczekaj, zapalę światło...

Nora wyskakuje do góry, cieszy się nie wiadomo z czego. Ty jesteś głupi pudel – myślę sobie – ale ja jestem jeszcze głupszy od ciebie. I pewno wiesz o tym, tak jak wszyscy...

– Nora! Wiesz, czy nie wiesz? – pytam głośno psa.

Nora wciąż szczeka. I nagle słyszę za sobą:

– Przepraszam. Chciałam przejść...

– To ty?

Stoimy naprzeciw siebie. Nie jest tym spotkaniem zaskoczona. To tylko chwila i nie potrafię znaleźć ani jednego słowa, które byłoby tutaj odpowiednie.

– Ja. Chciałam przejść – powtarza – przepraszam...

Poprawia okulary, nie patrzy na mnie. Odsuwam się pod ścianę.

– Proszę,

Wchodzi na piętro, rozgląda się i dzwoni do naszych drzwi. Raz, drugi... Co ja tu jeszcze robię? Zaraz przecież Irmina otworzy jej. I wtedy słyszę:

– Ewa.

– Po co mi to mówisz?

– Pytałeś.

Zbiegam po schodach. Co mnie to wszystko obchodzi?

Na dole zatrzymałem się na moment przy skrzynce pocztowej. Zawsze to robiłem, odruchowo, nawet jeśli dobrze wiedziałem, że jest pusta. Odkąd pamiętam, kluczyk od skrzynki nosił przy sobie dziadek. Ja albo Irmina meldowaliśmy mu tylko, jeśli coś się w niej znalazło. I dawniej każde z nas chciało być z taką wiadomością pierwsze. Może stąd to przyzwyczajenie zatrzymywania się przy skrzynce?

Teraz już ja miałem ten kluczyk. Dostałem go od dziadka w szpitalu, kiedy powiedziałem któregoś dnia, że jest do nas jakiś list.

– No, tak... – mruknął – oczywiście, powinienem zostawić wam to w domu, zupełnie zapomniałem.

Ale ja pomyślałem, że chyba jednak nie zapomniał, tak bardzo niechętnie rozstawał się z tym kluczykiem.

List był wtedy nie jeden, ale dwa równocześnie. Oba z Berlina. Oklejone różnokolorowymi znaczkami, z których każdy był brzydszy od sąsiedniego, pełne stempli: niemieckich, polskich... Powiało Europą! – powiedziałyby pewno dziadek, gdyby je widział. Ale przecież te listy ja ze skrzynki wyjmowałem... i coś mnie jednak ukłuło, choć sam przed sobą nie chciałem się do tego przyznać.

Po paru dniach przysłała jeszcze widokówka, gdzieś spod Drezna. Tam właśnie nasi chłopcy byli na obozie sportowym. Przez Berlin tylko przejeżdżali, zatrzymując się na krótko, a mimo to i Markoniec, i Kowal zdążyli napisać swoje listy. Zaledwie kilkanaście godzin po wyjeździe z Warszawy.

IX

Widokówkę przysłał Kmita. Ładna była, przedstawiała skały Bastei i daleko w dole wijącą się Łabę, po której płynął jakiś statek. Na pierwszym planie Kmita narysował długopisem dwa kółka i oznaczył cyframi. Statek zakreślił trzecim kółkiem, czwarte wypadało gdzieś w chmurach. A na odwrocie kartki opisał legendę: „Jedynka – tu ja stałem, dwójka – tu byś ty stał, trójka – takim statkiem płynęliśmy do twierdzy Koenigstein (coś fantastycznego, na bramie polski orzeł, ale jeden generał francuski jednak stamtąd prysnął, zupełnie nie wiem jak?), czwórka – przestań się mnie czepiać, przecież to Zawistowski napuścił nas na Markońca.” Obok był tekst, można powiedzieć, oficjalny: „Z pięknej Saksonii przesyłam sportowe pozdrowienia – Kmita.”

Pokazałem wtedy widokówkę Katarzynie.

– Co ma orzeł do generała francuskiego, który gdzieś prysnął? Nie wiesz przypadkiem?

Roześmiała się głośno.

– Wróca, to zapytamy. Ojciec też przysłał do domu kartkę, właśnie z Koenigstein.

Most zwodzony, brama, a nad nią herby Augusta Mocnego, stąd polski orzeł. On najwyraźniej wyciąga do ciebie rękę! Sam widzisz, że wyciąga. –

– August Mocny? Czy może orzeł? Podarłem widokówkę. Czeremcha rozzłościła się, ale jej szybko przeszło.

– Mogłeś mnie dać! Jeśli nie chciałeś, żeby wpadła Irmie w rękę, ze względu na to, co on tam pisze o Zawistowskim. Przecież wiesz, że zbieram widokówki. Chociaż... i tak zniszczona przez te głupie kółka głupiego Kmity. Ale rękę do ciebie wyciąga.

– Tak Przeciw Zawistowskiemu. Jasne.

List od Markońca adresowany był do Irminy. Od razu dała mi go przeczytać, takim gestem, jak podaje się komuś gazetę.

– Przecież to jest właściwie do dziadka. Albo raczej do nas wszystkich – powiedziała.

– Nie uważasz?

Przeczytałem list dwa razy, bardzo dokładnie.

– Uważani. Masz rację.

– To może zanieś go dziadkowi do szpitala, co? Ucieszy się, że Marek otrząsnął się z tego wszystkiego. Dziadek go lubi.

I tyle na ten temat, tylko tyle. Było zupełnie oczywiste, że ani ją to ziębi, ani grzeje.

A Markoniec pewno myśli o niej wieczorami, może wyczekuje odpowiedzi? Długo chyba zastanawiał się, co zrobić, żeby ten list był niby do nas wszystkich, ale tak naprawdę to tylko do Irminy. Ona mówi: otrząsnął się z tego. Ale właściwie chyba nawet nie bardzo wie, z czego Markoniec musiał się otrząsnąć, jeśli to w ogóle można tak nazwać.

Z tego, że postawiliśmy go – ja, Zawistowski i Kmita – wobec świństwa zaplanowanego od początku do końca i przegrał, bo musiał przegrać. Z tego wszystkiego, co przynosi nagłe uświadomienie sobie, że ci wszyscy stojący dokoła to nie jest krąg przyjaciół, tylko rozstawiona nagonka. Więc z tego można się po prostu otrząsnąć?

Obracałem w palcach list Markońca, aż w pewnym momencie wypadł mi z ręki. Irminy nie było w pokoju, mogłem przez chwilę nie podnosić kartki z podłogi... No, tak. Właśnie: nie podnosiłem tej kartki nie wiedząc nawet dlaczego. Ale kiedy patrzyłem na upuszczony list, pomyślałem, że to jednak zupełnie co innego trzymać go w ręku, a co innego patrzeć na niego choćby nawet z bliska, ale jednak patrzeć z boku.

Tak, jak patrzy Irmina. Albo ja... w tym momencie. A jeszcze co innego pisać ten list, który ktoś tam ledwo przeczyta, a ktoś inny zwyczajnie upuści. Głupia rzecz: kartka papieru. Tyle tylko, że zapisana.

I wtedy zrozumiałem coś – ważnego. Tu gdzieś jest błąd, muszę go wykryć, bo będę chodził jak we nagle, która rozmazuje kontury i wreszcie już nie wiadomo, kto jest kim.

Wciąż przypisuję innym swoje myśli. A przecież to, co ja czuję – to jestem tylko ja. Ja sam. I każdy jest zupełnie kimś innym...

– Co się tak zagapiłeś?

Irmina wchodzi do pokoju, spokojnie podnosi list i kładzie na stole, sądząc pewno, że po prostu spadł.

– Odkryłem Amerykę.

– Tu u nas, na podłodze?

– Coś w tym rodzaju.

– Zawsze sobie coś takiego odkryjesz, żeby się móc nad tym zastanawiać... – mówi moja siostra. – Bo ciebie, Marek, niewiele obchodzi to, co jest. Tylko to, co sobie na ten temat wymyślisz!

– Kto ci tak o mnie powiedział?

– Kto? Bo ja wiem... może dziadek?

– Irma... – zacząłem, ale dałem spokój. Po co to mówić?

A chciałem powiedzieć, że ja to już kiedyś o sobie słyszałem. Ale nie od dziadka.

Usłyszałem to od Zawistowskiego i ona powtarza jego słowa.

List od Kowala był krótki i rzeczowy. Nie pokazałem go nikomu, ale i nie zniszczyłem, wydawało mi się w pierwszej chwili, że będę musiał i potrafię na niego odpisać.

Znakomity nasz bramkarz Kowal, chłopak dobry i nie wiadomo czemu mający do mnie zaufanie, zderzywszy się z problemem, że dwa i dwa to nie zawsze musi być cztery, poczuł się oszukany i chciał wiedzieć, jak było naprawdę.

Co ja ci, Kowal, mógłbym odpisać? – myślałem. Nawet gdybym w końcu chciał odpowiedzieć na ten twój berliński list, nie potrafię tego zrobić, bo sam nie wiem, jak było wtedy naprawdę na warszawskim dworcu. I nie chcę wiedzieć, i do niczego mi ta wiedza nie jest potrzebna. Ani tobie, ani nikomu.

Nasza drużyna wyjeżdżała w połowie czerwca, tydzień przed zakończeniem roku szkolnego. Pociąg odchodził wieczorem. Sprawy szkolne mieliśmy załatwione, wszystkie nieobecności czerwcowe Markońca zostały usprawiedliwione dzięki pomocy dziadka.

I Czeremchy. Moje również.

Zawistowski przestał twierdzić, że nie ma sprawy. W ogóle niewiele mówił, tym bardziej, że nikt go nie pytał o zdanie. Zresztą Zawistowski był poza szkołą nieuchwytny, tak samo jak moja siostra. Zanim przyszły wakacje, opaliła się jak nigdy dotąd.

Kmita obnosił pogodną twarz, a Markoniec robił wrażenie zupełnie spokojnego. Tyle tylko, że zrzekł się funkcji kapitana zespołu. Nikt nie protestował, chłopcy przyjęli to z wyraźną ulgą i wybrano kapitanem Kowala, ja też na niego głosowałem, a może nawet to ja go zaproponowałem?

Profesor Iwanicki zrezygnował z prowadzenia naszej piłkarskiej drużyny.

A maturzyści, którzy zbyt dużo wiedzieli, przestali się pokazywać w szkole, bo niby po co, skoro już ją dawno skończyli.

I cała afera rozplynęła się, zatarła, jakby jej w ogóle nigdy nie było.

Na obóz do NRD, jako kierownika całej ekipy, bo przecież byliśmy już teraz reprezentacją Warszawy, postanowiono wysłać naszego dyrektora liceum.

– Ojciec twierdzi, że ten wasz wyjazd jest ważny ze względów politycznych – powiedziała do mnie Czeremcha. – A przy okazji przypomni sobie niemiecki. I zawsze coś tam mi przywiezie, no nie? Tylko pojęcia nie mam, co stamtąd właściwie można przywieźć. Nie wiesz czasem?

Nie wiedziałem, bo niby skąd? Odesłałem ją do Zawistowskiego. Niech spyta jego ojca, jest pływackim trenerem. Kaśka obraziła się na pięć minut.

– Głupi jesteś! – podsumowała. – Nie idzie o handel, tylko o jakiś ciuch dla mnie. Poproszę starego, to mi kupi taką bieliznę, że zemdlejesz. Jeśli ci oczywiście pokażę!

Kowal promieniał, klepał wszystkich po ramieniu i mówił:

– To jest dobre, co się dobrze kończy, a nie to, co się komuś tam wydaje!

Nie wiem, czy to było do mnie, czy do niego samego, nie pytałem i nikt inny też nie pytał. Jak dotąd, wszystko się Kowalowi sumowało, jak należy, dwa i dwa dawało cztery.

Pakowaliśmy się do wyjazdu, zbiórka miała się odbyć na godzinę przed odejściem pociągu, w hali dworcowej, przy kiosku Ruchu.

X

To był piątek. Dla nikogo pewno nie miał ten fakt żadnego znaczenia. Dla mnie miał.

Bo ja pakowałem plecak na zagraniczny obóz, a równocześnie dziadek przygotowywał się do szpitala.

– Dlaczego mama chce zabrać dziadka koniecznie jutro? Dlaczego właśnie w sobotę?

– pytałem. – Czy nie, lepiej, żeby jeszcze w niedzielę siedział sobie spokojnie w domu? Przecież tam i tak przez te dwa dni nie będą mu robili żadnych badań...

– Oczywiście, że nie będą. Ani w sobotę, ani w niedzielę. Ale sobota jest dniem, kiedy wypisuje się ze szpitala wielu chorych. Najłatwiej wtedy o miejsce. I o to chodzi.

Irmina też się pakowała tego wieczoru. Ich klasa miała jechać na wycieczkę do Krakowa. Wyjazd w sobotę rano, autokarem, powrót w poniedziałek. Tak zapowiedziała. Więc szykowaliśmy się wszyscy do opuszczenia domu, tak nerwowo, jakby bomba miała w niego trzasnąć lada chwila”

Nora, jak mogła, usiłowała nam przekazać coś, co po swojemu wiedziała może lepiej od nas, pies był przerażony i bezradnie szamotał się po mieszkaniu w bałaganie, jaki robiliśmy. Nie wiem, co kto z nas myślał wtedy, ale żalosne udawanie, że wszystko jest w porządku, że nic się nie dzieje i nic się nie stanie, stwarzało atmosferę nie do zniesienia.

– Nie odprowadzajcie mnie! – poprosiłem. – To późny pociąg, lepiej niech nikt mnie nie odprowadza.

Na dwie godziny przed odjazdem pociągu wyszedłem z domu wiedząc na pewno, że już nigdy nie będzie w nim tak, jak jeszcze wczoraj, choć może nawet wczoraj nie było najlepiej. Ale wczoraj jeszcze był ten dom, który dziś nam się rozlatywał na naszych oczach. Czu-

łem, że dziadek już tu nie wróci. W ciągu tego miesiąca, kiedy będę na obozie pod Dreznem, może się wszystko wydarzyć. Bałem się i wiedziałem, czego się boję.

Bolała mnie głowa. Było mi niedobrze, Kowal, po prostu miałem mdłości przez całą drogę na dworzec, ale o tym nigdy się nie dowiesz. Może to spaliny w autobusie, może histeria. Każde słowo jest dobre, żeby nazwać nim zwyczajny strach.

Na dworcu byłem przed wami wszystkimi. Ale nie czekałem w umówionym miejscu, usiadłem na ławce koło przechowalni bagaży, chciałem coś mądrego wymyślić. Nic mi jednak nie przychodziło do głowy. Z daleka dokładnie widziałem, jak chłopcy się pomału zbierają, i wreszcie dołączyłem do was.

A potem na peronie było bardzo wesoło, wielu odprowadzających, głośne rozmowy. Ludzie przypatrywali się nam, całej grupie, z ciekawością, może nawet z szacunkiem. Nasze piękne, wiśniowe dresy z orłami na piersiach robiły wrażenie. No i ta „Warszawa” na plecach, wielkie numery, wszystko było, jak trzeba. Ty miałeś oczywiście jedynekę, Kowal. Markoniec dziewiątkę, Kmita jedenastkę. Ja nosiłem dziesiątkę, pierwszy raz w życiu, i to miało swoją wagę.

Katarzyna przyszła na dworzec z siostrą, nic dziwnego, odprowadzały przecież ojca.

Ale Czeremcha odprowadzała i mnie. Nie wiem jednak, kogo przyszedł odprowadzić Zawistowski. Dostrzegłem go nagle i dość późno, już z okna wagonu.

Ty też go zauważyłeś, stuknąłeś łokciem Markońca. Wtedy Kmita powiedział półgłosem, może do mnie, może do siebie: – A ta cholera tu po co? Pamiętasz, Kowal? Inni chłopcy też to musieli słyszeć.

Zawistowski stał sam, wyraźnie z boku, ale nie chował się i myślę, że nawet chciał, byśmy go dostrzegli. Może nie wszyscy... A może w ogóle sobie to wymyśliłem, ale wtedy byłem pewien, że on chciał, żeby dostrzegł go Kmita i żebym zobaczył go ja.

Czy to takie ważne, Kowal, gdzie był wtedy mój plecak? Może jeszcze w wagonie?

Albo wciąż na peronie, tam za kioskiem ze słodyczami. Przecież chyba nie w przechowalni bagaży, nie sądzę. Chcesz wiedzieć, jak było naprawdę. Po co ci to? Albo mnie? Czy też komukolwiek. To nie ma większego znaczenia.

Odciągnąłem Kmitę od okna. W ciągu ostatnich kilkunastu dni nie rozmawiałem z nim i teraz też nie czułbym do tego żadnej ochoty, gdyby się nie odezwał na widok Zawistowskiego. Staliśmy przy drzwiach przedziału, wasze głowy zasłaniały peron, nie zwracaliście na nas uwagi.

– No?

– O co chodzi? – spytał Kmita.

– Sam widzisz. Znowu nas zaskoczył, jak zawsze.

– Nic nie widzę. Przyszedł i tyle. Więc co z tego, że przyszedł?

– A jak myślisz: po co on tu jest?

– Nic nie myślę. Nie obchodzi mnie to. Chciał, to przyszedł, nie moja rzecz.

– A czyja?

– Niczyja, nie zwracaj głowy. Do czego ty ciągniesz?

– Bo jednak rozzłościło cię, że on tu stoi na peronie! – powiedziałem. – Więc może wciąż jest między nami jakaś nie załatwiona sprawa? Jest czy nie ma? Dlaczego się denerwujesz?

Kmita przez chwilę nie odpowiadał. A potem, zupełnie innym tonem:

– Może sądził, że Irmina cię odprowadza? I dlatego przyszedł. A może chciał zobaczyć, jak my obaj zgodnie, razem z Markońcem, odjeżdżamy w siną dal?

– Więc jednak! Chciał przekonać się, że wszystko jest w porządku, tak?

– Bo jest w porządku. Gdyby Markoniec nie jechał z nami albo gdyby któryś z nas nie jechał, to co innego. Ale tak? W ogóle nic się nie stało, słyszysz? – Kmita potrząsnął mną, jakby miał wątpliwości, czy to, co mówi, dociera do mnie.

– A może Zawistowski chce nam obu pokazać, że jest lepszy od nas? To my byliśmy zainteresowani całą aferą z Markońcem, my chcieliśmy zarobić ten wyjazd – A Zawistowski działał bezinteresownie...

– Marek! Odczep ty się ode mnie z tymi swoimi historiami. Ostatni raz o tym rozmawiam... – mówił Kmita spokojnie. – Posłuchaj: nam obu chodziło o wyjazd na obóz, ale i chodziło o sprawiedliwość. Bo nam i Kowalowi ten wyjazd się należał. Markoniec też miał dobre intencje. Tyle, że wyszło nieporozumienie. Cześć! I to już koniec. A Zawistowskiemu również o coś chodziło...

– O co? – zdziwiłem się. – Co on z tego ma?

– Poderwał Markońcowi twoją piękną siostrzyczkę. Trzeba być rzeczywiście takim bałwanem jak ty, żeby tego nie zauważyć. Zawistowski jest większy cwaniak, niż ci się wydaje!

– Więc ty, Kmita, właśnie tak na to wszystko patrzysz... – powiedziałem, też już zupełnie spokojnie.

– A tak. I to nie od dzisiaj!

Kmita wrócił do okna, przez które rozmawialiście z tymi, co nas przyszli odprowadzić. A wtedy ty, Kowal, odwróciłeś się i krzyknąłeś do mnie:

– Marek! Leć do drzwi, Kaśka chce ci coś powiedzieć.

Pobiegłem przez cały wagon, roztrącając ludzi. Drzwi były otwarte, Czeremcha czekała na stopniach.

– Gdzieś ty się tam schował? – złościła się. – Pocałuj mnie prędko, póki ojciec nie widzi! Nawet się nie pożegnałeś...

Zeskoczyła na peron.

– Trzymaj się, Marek. I nie martw się o nic. Będziemy waszego dziadka odwiedzali po operacji. Z Irmą i Zawistowskim...

Zatrzasnąłem drzwi i momentalnie opuściłem w nich szybę.

– Skąd wiesz, że mają dziadka operować? Przecież mówiło się tylko o obserwacji...

– Zawistowski mi przed chwilą powiedział, tu na peronie. A on usłyszał dzisiaj od Irmy. Muszą przeprowadzić badania szpitalne, ale to się może skończyć operacją. A może wszystko będzie dobrze? Trzymaj się, stary!

XI

Pociąg ruszył. Słyszałem wtedy jeszcze, Kowal, jak chłopcy krzyknęli coś głośno, wszyscy razem. Przez otwarte okno chciałem pomachać ręką, ale dałem spokój. Bo niby komu? Katarzynie czy może Zawistowskiemu, do którego podeszła teraz? Widziałem ich, jak stali trochę z boku, odcinając się od gromady odprowadzających.

A jeśli on przyszedł na dworzec, żeby mi w ostatniej chwili coś powiedzieć? Może właśnie to, co usłyszałem od Kaśki, tylko nie miał odwagi? Albo nie był pewien, czy należy, czy ma prawo to zrobić? Możliwe, że tylko dlatego przyszedł. Ale już się nad tym w tej chwili nie zastanawiałem.

Właściwie w ogóle nie miałem nad czym się zastanawiać, nie było potrzeby o niczym rozmyślać, wszystko było proste, do Warszawy Zachodniej pociąg biegnie tylko cztery minuty, może pięć. Wysiadłem. Parę kroków biegiem, żeby schować się za jakąś budką. Ale przyszło mi do głowy, że przecież lepiej, jeśli ktoś mnie zauważy z wagonu. Nie będziecie się mar-

twić, że wypadłem gdzieś podczas jazdy.

Ty mnie zauważyłeś, Kowal. Pociąg już odjeżdżał. Widziałem twoją przerażoną twarz i kiwnąłem ci głową, żebyś wiedział, że to nie przypadek wysadził mnie na peronie Dworca Zachodniego. Napisałeś w tym swoim berlińskim liście, że krzyknąłem coś do ciebie. Nie pamiętam. Skojarzyło ci się to z tamtą przerwą podczas meczu w Agrykoli, kiedy nie wie-

działeś, co zrobić? Ty masz jednak wyobraźnię, chłopie. Wtedy powiedziałem: „Graj, Kowal. Musisz”. Tak piszesz. Ty masz pamięć, Kowal, kto by się spodziewał.

Po co ci znać prawdę? Dlaczego wysiadłem, nikt nie będzie wiedział, czyli każdy będzie wiedział swoje. Ważne jest tylko to, że zostałem w Warszawie.

Nie odpisałem Kowalowi. Zrozumiałem, że nie można powierzać siebie zwykłej kartce papieru. Nie można, czy jest to po prostu niemożliwe?

Dziadek uśmiecha się, ale nie podnosi głowy. Leży nieruchomo. Podchodzę szybko do łóżka. Po raz pierwszy odwiedzam go na sali.

– Co to jest? – pytam. – Co oni ci robią? To jakiś zastrzyk?

– Kroplówka...

Na metalowym stojaku obok łóżka wysoko zawieszona pękata butelka, od której biegnie plastikowa rurka zakończona igłą.

– Tak się nazywa: kroplówka. Spływa to wszystko do żyły godzinami, okropnie nudne... – mówi dziadek. – Wzmacniają mnie. Siadaj. Co słyhać?

– Nic – mówię. – Zupełnie nic. Aha! Był może u dziadka profesor Orzechowski? Nasz Pilaster...

– Nie. Orzechowski? – dziwi się dziadek. – A co, chciał tu przyjść? Skąd wiesz?

– Spotkałem go przypadkiem. Nie wiem, czy chciał. Pytam tylko.

– No, tak... – mówi dziadek po chwili – Wzmacniają mnie, wiesz. Tymi kroplówkami.

Przed zabiegiem. Siadaj na łóżku... niby nie wolno, ale nie ma stołków.

Życzył sobie tej rozmowy, chciał, żebym dostał się do szpitala przed południem, kiedy nie ma odwiedzających, a jego sąsiedzi z sali zabierani są na badania i opatrunki. Chciał mi coś powiedzieć, czy raczej liczył, że ode mnie dowie się czegoś?

– Przygotowują dziadka... więc jednak operacja. Dlaczego tak nagle?

– Oni tu nie lubią tego słowa. Mówią: zabieg. Nie – wiem, Marek, czym się to skończy. To znaczy... raczej wiem. Ale ja już zgodziłem się na tę operację, chyba dobrze zrobiłem, co?

Milczałem.

– Tylko widzisz, jest taka sprawa... ja mówiłem Irminie, że idę do szpitala na badania. Obiecałem, że wrócę do domu. Rozumiesz? Więc właśnie chciałem cię prosić: nic jej nie mów. Niech ona nie wie o tej operacji. Milczałem.

– Inka się gryzie różnymi innymi sprawami. Ciężko jej i bez tego. Wasza matka też ma swoje zmartwienia... Zła pora, wiem, że to bardzo zła pora. Dobrze jednak zrobiłeś, że nie wyjechałeś. Ale ci nie zazdroszczę tego wszystkiego...

– To nie mnie operują, dziadku.

– Tak. Ale ty tu zostaniesz.

– Ty też!

Uśmiechnął się, prawie wesoło. Zawsze potrafił się uśmiechać dokładnie wtedy, kiedy to było innym potrzebne.

– Oczywiście, oczywiście... – powiedział lekko, zwyczajnie, jakbyśmy rozmawiali sobie o pogodzie. – No, więc umowa stoi? Nie powiesz nic Irminie?

Drzwi otwarły się gwałtownie, pielęgniarki wtoczyły do sali wózek z pacjentem.

Wszedł lekarz, pomógł im przenieść chorego na łóżko. Potem spojrzął na; dziadka, na mnie.

– Nielegalne odwiedziny? Rzecz jasna, niczego nie widzę... – powiedział głośno. A do pielęgniarek: – Niech któraś Z was odłączy tę kroplówkę, wystarczy na dziś, nie męczcie już pana...

Wyszedł. Potem pielęgniarki. Dziadek wyraźnie odetchnął, usiadł na łóżku i zaczął masować rękę.

– Zupełnie mi ścięła od tego... Wczoraj wieczorem po raz pierwszy podłączyli mi kroplówkę. Musiałem zostać, w łóżku, dlatego nie mogłem zadzwonić do ciebie w tym czasie

co zwykle. Irma mówiła, że denerwowałeś się, a ja właśnie nie chciałem, żebyście się martwi-
li...

– Dziadku – przerwałem mu – kto to był?

– Niby kto?

– Ten lekarz.

– Doktor Sokołowski, chirurg. Dlaczego pytasz? – i dziadek spojrział na mnie uważnie. Sokołowski, Sokołowski... – powtórzyłem sobie w myśli. To był ten lekarz, który ro-
bił Irminie opatrunek po wypadku. Mama przyjechała z nim sanitarką, na sygnale,
w kilkanaście minut po moim telefonie do szpitala. Więc on tak się nazywa.

– No i co? – dopytywał dziadek. – O czym ty myślisz?

Skąd ten dziadka niepokój, o czym ja teraz myślę? Niepotrzebny, zbyt wczesny. Prze-
cież nie wiem, co ma wspólnego ten lekarz z dziewczyną, która wieczorem przyszła do Irmy.
Przecież nie zgadnę, po co przyszła. Odkrywają się jakieś karty, ale nie przeceniaj mnie,
dziadku. Ja naprawdę nic nie wiem.

– Prosiłeś, żebym nie mówił Irminie o twojej operacji... Mówisz, że Irma gryzie się
różnymi innymi sprawami, tak? A czyni ona się gryzie?

Dziadek robił wrażenie zmęczonego. Dopiero teraz, nagle to dostrzegłem. Poprawił
sobie koc i długo wyglądał go dokładnie, jakby to właśnie było w tej chwili najważniejsze.
Wiedziałem już, że niewiele usłyszę,

– Są tam takie różne rzeczy... Wiesz, co to ani w jedną, ani w drugą. Z której strony
spojrzysz, to niby jest racja i zarazem jest źle...

Nie wiem, jak długo mówił do mnie. Ale wszystko to były tylko słowa. Zbliżało się
południe, było parno nie do zniesienia, zbierało się chyba na burzę. Sala wypełniła się już, nie
byliśmy sami, chorzy wrócili do swoich łóżek, coraz to zaglądała jakaś pielęgniarka.
Siedziałem przytępiały, nie spostrzegłem nawet, kiedy przestał mówić.

– Dziadku... – spytałem nagle – co ty o niej wiesz? Co ty naprawdę o niej wiesz?

– O kim? O waszej mamie?

Zaskoczył mnie. Czy ja jego bardziej?

Nie rozumiał, o co mi chodzi. Czekał.

– O naszej Irmie.

Uśmiechnął się do mnie.

– Dużo wiem. A przede wszystkim wiem to, że jest nasza. Tak przecież powiedziałeś,
prawda?

– To niewiele znaczy, dziadku.

– Nie, to jest już bardzo wiele. O czym ty myślisz, Marek?

XII

Duszno w tej sali, nie ma czym oddychać. Więc wyjdę stąd za chwilę... Jutro będą go
operowali. A ja nie powiem o tym Irminie. Przyrzeknę mu to i będzie spokojniejszy. Nie zda-
je sobie sprawy, że Ona wiedziała o tej operacji, zanim poszedł do szpitala. Mnie nie powie-
działa ani słowa. Żebym mógł spokojnie wyjechać na obóz?

A może nie pomyślała o tym, że mogę już dziadka nigdy nie zobaczyć? Jeśli wyjadę.

Albo też czuła, że zrezygnuję z wyjazdu na wiadomość o operacji. Więc co? Szkoda jej było
tego zagranicznego obozu? To nie ma sensu, Irmina jest na to zbyt mądra. A może sądziła, że
bardzo mi zależy na tym wyjeździe, tak bardzo, że mimo wszystko wyjadę? I potem będę
sobie robił wyrzuty. Chciała mnie przed nimi osłonić. Chciała mnie osłonić przed samym
sobą?

Nie miała do tego prawa, nie wolno jej było w ten sposób decydować za mnie.

A jeśli... w ogóle nie myślała o tym wszystkim i powód był zupełnie inny, zwyczajny? Mogła
po prostu uważać, że w ogóle niewiele mnie to obchodzi. Bo niewiele łączy mnie

z dziadkiem, bo tylko oni obydwójce mają wspólne sprawy, bo w ogóle nie należą do nich. Może mógłbym się kiedyś dowiedzieć, jak było naprawdę. Ale nie zapytam o to. Ani Irminy nie będę pytał, ani od Zawistowskiego nie chcę wiedzieć, dlaczego przyszedł wtedy na dworzec. Nie wyjechałem. Zostałem na swój własny rachunek. Sam tak zdecydowałem. Okropnie duszno w tej sali...

Nagle na oddziale zrobił się ruch. Szybkie kroki na korytarzu, trzaśnięcie drzwi, podniesione głosy. Spojrzałem na dziadka. Chorzy na sali unieśli głowy.

– Co to takiego? – spytał ktoś.

– Chyba obiad.

– Nie. Na obiad za wcześnie.

– No, to co?

– A bo ja wiem? Wyjdź pan i zobacz.

– A co mnie to obchodzi? Niech pan sam wyjrzy.

– Przecież ja nie wstaję–

– No, to leż pan spokojnie. Samo się wyjaśni.

– Może kto wykorkował?

– W południe?

– A co to, w południe nie można?

– Można. Ale nie wypada. Tak się nie robi.

Ktoś roześmiał się nieprzyjemnie głośno.

– Będziesz już chyba musiał iść... – powiedział szybko dziadek. – Pewno to jakiś obchód, nie powinni cię tu zastać. Ma™ rek...

Urwał. I poczułem, że bardzo chciałby mnie tu zatrzymać, ale nie wie jak. Poruszał ustami, jakby przesiewał bezgłośnie słowa, z których chce wybrać tylko kilka, niewiele, ale takich, co powiedziałyby teraz wszystko. Wstałem.

Otworzyły się drzwi, weszła pielęgniarka, potem druga. Za nimi zobaczyłem mamę, patrzyła na nas. Schyliłem się do dziadka:

– Nie denerwuj się, ja tu wrócę...

– Proszę poprawić łóżka – mówiła głośno mama do pielęgniarek. – I okna można szerzej otworzyć. Przynieście kwiaty z separatki, jeden wazonik. I postawcie tu gdzie...

– Mogą cię już nie wpuścić... – szepnął dziadek.

– Dam sobie radę. Nie martw się, na pewno przyjdę.

– Zabieracie kwiaty temu z separatki? – spytał chory spod okna. – To znaczy, że już mu niepotrzebne. A jeszcze wczoraj z nim rozmawiałem...

– Poszedł do domu. Wypisał się dziś rano – odpowiedziała mama. – Nie wierzy mi pan? To po co pan pyta?

– Więc jak, nie żegnamy się? – i dziadek wyciągnął rękę.

Podąłem mu swoją i uściśnąłem mocno dłoń.

– Nie. Nie żegnamy się, dziadku.

Mama wyszła za mną na korytarz.

– Nie wiedziałam, że tu jesteś. Wpuścili cię bez mojej pomocy?

– Jak widzisz. Mam swoje chody.

– Po co przyjechałeś? Co w domu?

– Nic. A co u ciebie?

Spojrzała zdumiona.

– O co ci idzie?

– O nic. Przyjechałem, bo dziadek dzwonił. Nie widziałem cię prawie dwa dni, więc pytam, co u ciebie? Ten pacjent z separatki to... kiedy?

– W nocy, nad ranem. Co – cię to obchodzi?

– Nic. Wołają cię...

– Słyszę. Idź do pokoju pielęgniarek i zaczekaj. Trafisz tam?

– Mamo – powiedziałem – on już chciał się ze mną pożegnać...

W otwartych drzwiach windy stał doktor Sokołowski i powtarzał:

– Pani Danko, proszę prędeej! Ordynator wzywa.

– Już idę, panie doktorze! – powiedziała szybko mama. A do mnie: – Pożegnać?

– Tak. Pożegnać. Idź już! – odwróciłem się i odszedłem korytarzem.

I wtedy, właśnie wtedy ta moja dziwna myśl, która nie dawała się dotychczas ująć w słowa i wymykała się długo nieuchwytna, nabrała nagle kształtu, jakbym zobaczył ją przychodzącą do mnie z zewnątrz. Albo jakbym to ja wchodził w jakąś nową przestrzeń, niepewnie wchodził w coś nieznanego, co zaczyna się właśnie teraz, w tym momencie dla mnie się zaczyna, choć trwa od dawna.

My tu wszyscy prowadzimy jakąś grę. Wszyscy. Toczy się gra, o co? Każdy coś wie, każdy wie co innego. I zawsze już będziemy tak szli osobno, w inną stronę, przeciwko sobie? Dlaczego?

Minąłem pokój pielęgniarek i zapukałem do ostatnich drzwi, za zakrętem, przy samych schodach. Nacisnąłem klamkę.

– To ja. Musi pan mnie przechować panie Józefie. Jak dawniej.

– Wejdz. Przekręć klucz i wyjmij go. Nikt nas tu nie znajdzie.

– Tylko parę minut i wrócę do dziadka.

– Robią obchód ze studentami, to potrwa z pół godziny. Albo i dłużej. Siedź, ile chcesz.

– Pan tam nie musi iść?

– Przecież wiesz, kim tu jestem. Pielęgniarem. Od wnoszenia i wynoszenia... Co ci jest? Powiedz.

– Nie... nic.

– Nic?

Usiadłem na koszu pełnym świeżych, wyprasowanych prześcieradeł. Było tu jeszcze duszniej niż na sali. Józef zasłaniał sobą jedyne okno tego magazynku, ogromny, zwalisty chłop w białym fartuchu siedział na parapecie okna i jadł chleb. Widziałem go nad sobą i w tej wąskiej, ciasnej klitce wydał mi się jeszcze wyższy i potężniejszy niż zawsze. I poczułem się przez chwilę jak dawniej małym chłopcem, którego Józef ukrywał w tym magazynku przed lekarzami, kiedy mama, nie mając co ze mną zrobić, zabierała mnie czasem do szpitala.

– Coś ci jest. Widzę przecież – powiedział. – Boisz się czegoś, prawda?

– Tak.

– Nie wolno.

XIII

Milczeliśmy obaj. Józef zszedł z parapetu i usiadł obok mnie. Przez okno widziałem teraz wierzchołki wysokich topoli rosnących koło szpitala. Poruszały się rytmicznie, nie wiadomo skąd po wielu dniach upału przychodził wiatr. Na niebie zaczęły pojawiać się drobne, pojedyncze chmury, zmieniały powoli kolor i zbijając się ze sobą rosły, spiętrzały się.

Więc wyjdę stąd za chwilę, jakby nigdy nic. Wrócę do dziadka. I co mu powiem?

A potem zostawię go tutaj samego, wyjdę sobie jakby nigdy nic z tego szpitala... i co? I co dalej?

– Marek, rozmawiałeś z dziadkiem? Mówił ci?

– Co?

– No, wiesz...

– Nie rozumiem, o co Józefowi chodzi. A on nie chce albo nie bardzo umie to powiedzieć.

– O tym, że jutro mają go operować? – pytam. – I że już się na to zgodził?

– Zgodził? A więc tak: zgodził... – powtarza Józef. – Tak ci mówił?
I znowu jakaś zasłona, znowu ktoś nie mówi prawdy. Ciągłe to samo – myślę szybko, bardzo szybko, jakby lampki jakieś zapalały się w szeregu i gasły, i znowu ciemno, i wciąż te zasłony, które spadają, żeby inne mogły się zaciągnąć. Jak je zerwać?
– Tak mi powiedział.
– No, widzisz... A to przecież nie było tak, Marek. To przecież oni wszyscy z trudem się zgodzili. Ja to wiem, bo słyszałem różne rozmowy... no, tak.
– Jacy oni?
– Lekarze. I twoja matka. Ordynator też.
– Zgodzili się na tę operację, tak? Niech pan powie: więc to jemu zależało, tak bardzo naciskał? Chciał tej operacji, sam jej chciał?
– Tak.
– Dlaczego?
– Nie wiem, chłopie... Co to można wiedzieć? – Józef wzrusza ramionami i przekręca się powoli w moją stronę, aż trzeszczy kosz, na którym siedzimy.
– Co pan tak patrzy?
Cisza.
– Co pan tak patrzy na mnie?
– Nie krzycz. Usłyszają...
– To ciężka operacja?
– Ciężka.
– No, więc dlaczego? Panie Józefie, dlaczego dziadek tak się pcha pod ten nóż? Dlaczego tak mu zależy?
– Ta choroba przecież sama nie przejdzie...
– Operacja daje jakąś szansę?
Józef powoli wstaje.
– Wyrzę na oddział. – mówi. – Może już po obchodzie?
– Pytałem pana, dlaczego dziadek chce tej operacji? Słyszysz pan? Dlaczego?
– Czasami ludziom tak bardzo zależy na tym, żeby żyć. Nawet nie wiesz, jak bardzo. A czasem znów...
– Co?
– Wyrzę na oddział. Siedź tutaj, zawołam...
Chwytam go za rękę, wielką, silną dłoń. Stoi nade mną, potężny, zwalisty i bezradny. Zupełnie bezradny.

– A czasem znów co? Chciał pan coś powiedzieć.
– Nie... nic.
Wyszedł. Okropnie duszno, nie ma czym oddychać. Topole przed szpitalem chwieją się teraz jak wahadła, odchylają głęboko w jedną i drugą stronę. Może zrobi się chłodniej, za oknem pewno już spory wiatr... Wyjść stąd jak najszybciej – myślę. I uciec. Bo co ja mogę innego zrobić? Uciec od nich wszystkich... dokąd? Co powiem Irminie?
Więc siedzę. Siedzę sam i myślę o sobie. To bardzo dziwne, że kiedy myśli się o samym sobie, nie widać w tych myślach własnej twarzy, ciągle cudze. Więc nawet w myślach człowiek nie jest nigdy sam? Wciąż twarze, otaczają mnie, są. Więc tak wiele zostaje w nas i nie można się od tego oderwać, co już raz było, wydarzyło się, zostało powiedziane?
Siedzę sam wśród twarzy ludzi bliskich i obcych. Nie mogę im wszystkim darować tego, że nie wiem, jacy są. Co czują. Co myślą. Tego, że wiedzą o sobie samych coś, czego ja nie wiem i nigdy się nie dowiem. O to mi chodzi? Co tu zależy ode mnie?
Czas iść. Na korytarzu już spokój, normalne życie, mijają mnie postacie w szpitalnych

piżamach, snują się powoli tam i z powrotem. Co tu zależy ode mnie – myślę – od każdego z nas?

– Zniknąłeś mi gdzieś – mówi mama. – A tu wiecznie urwanie głowy na tym oddziale. Już nie mam sił... Rozmawiałeś z dziadkiem i wiesz, że to jutro, tak? On nie chce, żeby o tym mówić Irminie. Więc nie mów. Pożegnał się z tobą?

– Ta jutrzejsza operacja daje jakąś szansę?

– Nie wiem...

– Powiedz prawdę.

– Prawdę? Żaden lekarz nie powie, że nie daje. Trzeba wierzyć w szansę. Co można innego zrobić?

– Rozumiem. Mamo...

– Co?

Otworzyły się drzwi. Do pokoju pielęgniarek, w którym rozmawialiśmy, zajrzał doktor Sokołowski. Zawahał się jakby.

– Wejdz – powiedziała do niego mama. – Przecież już się znacie.

– Chciałem tylko zapytać, czy schodzisz na obiad?

– Tak. Zaraz pójdę... zaczekaj na mnie chwilę.

Znowu jesteśmy sami.

– Coś jeszcze zacząłeś mówić, Marek... Nie?

Patrzę na mamę i czuję, jak rośnie między nami coś, czego jeszcze nie potrafię nazwać. Coś złego. W jednej chwili urosło i już stoimy po różnych stronach tego muru. Wiem, że czujemy to teraz obydwójce.

– Marek...

– No, idź już. Obiad ci wystygnie. Smacznego.

– Chciałeś mi przecież coś powiedzieć...

– Tak. Chciałem. Ale teraz to już nie ma takiego znaczenia. Chciałem powiedzieć coś ważnego. Ja jestem winien, że Irma miała ten wypadek. Ja.

– Nie mów głupstw, Marek... Co ci przyszło do głowy? Przecież...

– Słuchaj... – przerywam – i jeszcze coś. Coś ważniejszego. Ty chyba nie wiedziałeś.

Nie mogłaś wiedzieć. Ewa Sokołowska chodziła z naszą Irminą do jednej klasy. A to jego córka, tak? One znają się bardzo dobrze. Wiedziałaś?

Bardzo długa cisza. Nie mam odwagi spojrzeć na mamę. Tak długa cisza, jakby to słowo już nigdy nie miało paść.

– Nie.

– Rozsypuje się mur. Wierzę jej.

– Nie wiedziałam...

– Więc teraz wiesz. Stało się, już na to nic nie poradzimy. Nie mówmy o tym nigdy, mamo...

Wróciłem do dziadka. Siedziałem długo na brzegu łóżka, pochylony nad nim, żeby nikt nas nie słyszał. Pielęgniarki nie miały odwagi wyrzucić mnie z sali, chorzy przyzwyczaili się i nie zwracali na nas uwagi. A ja mówiłem mu wszystko to, czego dotychczas nie potrafiłbym pewno ubrać w słowa, mówiłem dużo słów uśmiechniętych, pełnych dawnych naszych spraw, kiedy jeszcze Irma i ja, i on, i mama, kiedy jeszcze wszyscy byliśmy razem, ze sobą. A kiedy mi już zabrakło tych słów i co ścisnęło mnie za gardło i czułem, że już naprawdę nie mam w tej sali czym oddychać, wstałem nagle, gwałtownie. Tak nagle, że otworzył szeroko oczy.

– Dziadku... powiedz, jak to jest? Więc ty niczego nas nie nauczyłeś?

– Marek...

Wszedłem z sali. Długi, bardzo długi korytarz. Schody. Dużo, bardzo dużo schodów.

Dokąd ja idę?

Pora kasztanów

- Do czegoś się idzie, szukając właściwie wciąż tylko samego siebie, ale nie tak łatwo to zrozumieć.
- Wszystko się w drodze może przecież zdarzyć...
- Szukając, idzie się wśród ludzi, czasem zupełnie po omacku wyciągając rękę, żeby podjąć inną wyciągniętą dłoń.
- Bo wszystko jest w tobie samym, ale nie odnajdziesz tego inaczej, jak tylko wśród innych.

XIV

A teraz w Warszawie jesień.

Idę przez park, w którym minęły nam wakacje, jakich już nie będzie. Liście pod nogami i liście pływają po wodzie. Przez gałęzie przebija słońce tak zwyczajnie jak na złych obrazach albo bardzo dobrych fotografiach. Żwirowe alejki i alejki asfaltowe. Gołębie i wróble. Wciąż jeszcze dużo zieleni i białe łabędzie w stojącej wodzie królewskich stawów. I wszystkie tamte godziny zamknięte jak w klatce, przez którą idę słysząc swoje kroki. Graliśmy nasze role dzień po dniu, coraz lepiej wiedząc, że tylko my możemy je zagrać i nikt tego za nas nie zrobi. Ale nie od razu było to takie oczywiste, jak wydaje się teraz, kiedy w łazienkowskim parku pękają już kolczaste, zielone kule dojrzewających kasztanów, a ja idę przez ten park szukając Irminy.

Co się dzieje w drugim człowieku, kiedy patrzy na ciebie, i ty patrzysz mu w oczy, i nie ma między wami słów? Co się dzieje na tamtym brzegu, na który twoje spojrzenie nigdy nie zdoła cię przenieść?

– Irma...

Wiatr uderza w szyby, jakby chciał je wgnieść. Zacina strumieniami deszczu. Stuka w okno zerwany kabel telewizyjnej anteny. Prawie ciemno. Zwaliła się ta burza na miasto i na nas zaskakująco gwałtownie i nagle, choć wszyscy na nią czekali. Bo zaskoczyć może również to, co narasta powoli.

Irmina mówi:

– Żal mi jej. Naszej mamy. I tamtego człowieka też mi żal. I tej małej Sokołowskiej. I jej matki. Wszystkich mi ich żal. Tak. I wiesz, że równocześnie, gdybym tylko mogła, rozrwałabym ich na kawałki. Wszystkich. Za to, że mi ich żal. Za to, że się znaleźli w sytuacji bez wyjścia. Za to, że są nieszczęśliwi...

Powoli podchodzi do okna. Siada na nim. Odruchowo chce poprawić włosy, których nie ma. Więc dłoń zwisa bezradnie w jakimś geście nieokreślonym. Za jej plecami szyby ociekają deszczem, który zacina z ukosa. Irma podnosi głowę.

– Ale dlaczego mam ich żałować? Ja im nic nie zrobiłam. Sami sobie winni albo nikt nie winien, wszystko jedno jak to jest. Dlaczego mnie to musi obchodzić? Powiedz, dlaczego?

– Nie wiem. A jednak żal ci ich... Nie jesteśmy na pustyni.

– Jesteśmy. Kiedy komuś dobrze, ma to tylko dla siebie. A dopiero jak mu źle, obdziała tym innych, tak? Bierzcie, bo mi się nie udało. Dzielmy się tym, co złe. Nieszczęścia starczy dla wszystkich, prawda?

– Co chcesz, żebym ci odpowiedział?

– Nic nie mów.

I po chwili:

– Co ty mi możesz powiedzieć? Co?

I nagle przestaje mi się wydawać, że tak wiele mam jej do powiedzenia. Zaczynam rozumieć, że jestem zupełnie bezradny wobec tego, co ona sama wie i czuje. Mogę jedynie py-

tać i dobrze, jeśli otrzymam odpowiedź. Więc pytam, żeby nie zostać w pojedynkę na własnym brzegu.

– Irmina, mówisz o wszystkich, tylko nie o dziadku. Nie mówimy o tym, co najważniejsze...

– Bo tu już nie trzeba nic mówić. To jest takie jasne i proste” że można oszaleć.

– Co zrobimy?

– Weźmiemy to na siebie...

– Jak?

– Będziemy się uśmiechać do końca. Nie miałeś prawa powiedzieć dziadkowi, że niczego nas nie nauczył. Źle, że mu tak powiedziałaś...

– Nie. Ja myślę, że powiedziałem mu tylko to, co on sam i tak wiedział.

– Weźmiemy to wszystko na siebie – powtórzyła Irmina. – Nie rozumiesz mnie? Nie potrafię ci tego wytłumaczyć tak od razu.

– Ciężko będzie?

– Tak.

– Ty nawet nie wiesz, Irma, jak bardzo ciężko.

– A ty wiesz? Też nie. Ale przecież bierzemy to na siebie. Prawda?

Moja siostra była silniejsza niż ja. Wzięła wtedy na nas to wszystko, przed czym ja zacząłem uciekać. Kiedy zbiegłem do szpitalnego halu i stamtąd zadzwoniłem do Irminy, moja panika udzieliła jej się tylko na moment.

– Nie! – krzyknęła w słuchawkę. – Słyszysz? Nie!

Próbowałem tłumaczyć, sobie i jej:

– Jeśli uznano, że operacja jest konieczna? Jeśli dziadek sam tego chce? Co można zrobić? Może to jednak jakaś szansa? Może trzeba się z tym wszystkim pogodzić?

Chwila ciszy w słuchawce i już spokojny głos Irmy:

– Z niczym złym nie wolno się godzić. Szybko przyjeżdżaj.

W domu zastałem Zawistowskiego. Gdyby chciała, mogła mu przecież kazać wyjść po moim telefonie i w ogóle nie wiedziałbym, że był u niej. A gdyby on nie chciał się ze mną spotkać, sam by wyszedł.

Przyjechałem taksówką, za którą nie miałem czym zapłacić. Wpadłem więc do mieszkania, wyjąłem z szuflady kilkanaście złotych i zamierzałem zbiec na dół.

– Zaczekaj... – powiedziała Irma. – To dobrze, że masz taksówkę. Zaraz zacznie lać, wiatr się zerwał... Weź więcej, wyjmij setkę. I daj mu!

Spojrzałem zdumiony na Zawistowskiego.

– No, daj mu pieniądze! – powtórzyła Irmina. – On wróci tą taksówką do szpitala.

Musi się zobaczyć z dziadkiem.

– Zostaw teraz dziadka w spokoju. Nie są mu potrzebni goście. Zwłaszcza tacy...

– Co chciałeś powiedzieć? – spytał Zawistowski.

– Nic. Dzisiaj nie ma odwiedzin, nikogo nie wpuszczają.

– Ciebie wpuścili, to i on da sobie jakoś radę.

– Być może. Taki cwaniak, jak Zawistowski! Kominem wejdzie i nawet się nie pobrudzi. Plamy zostaną na innych... – urwał nagle, choć przecież wiedziałem, jak chcę skończyć to zdanie.

– Mów dalej. Choćby wszystko, co masz do niego – powiedziała Irma. – Tylko szybko, bo zaraz taksówkarz zacznie cię szukać po całym domu. Albo daj już spokój. Ty musisz zrozumieć, Marek, że już na to nie pora. Nie jesteśmy tacy sami jak jeszcze przed miesiącem. Ani on, ani ja...

– Ani ty!

To powiedział Zawistowski patrząc na mnie zupełnie spokojnie, zwyczajnie.

– Po co go wciągasz w nasze sprawy? – spytałem Irnę. – Co go to wszystko obcho-

dzi? Nie jego interes. Jeśli trzeba, to ja jeszcze raz pojedę do szpitala.

– Ty tego nie załatwisz, bo nie jesteś w stanie. Powinnam jechać ja sama. Ale nie mogę. Więc on pojedzie w moim imieniu. Dobrze wie, co ma powiedzieć dziadkowi. Zawistowski wstał bez słowa, widocznie ustalili to wcześniej. Wziął ode –. mnie sto złotych i schował da kieszeni. Ale w drzwiach zawrócił.

– Inka, a jeśli ty źle robisz?

Mówi do niej: Inka. Tak, jak dziadek – pomyślałem. – Po co ona go tam wysłała? Co postanowiła? Irmina nie odpowiada, Może dlatego, że ja słucham?

Wyszedłem do pokoju dziadka. Coraz bardziej ściemniało się i podmuchy wiatru uderzały coraz mocniej o szyby. A więc wreszcie burza, po tylu dniach upałów. Usiadłem na tapczanie i zapaliłem lampkę. Trzask drzwi, to Zawistowski wybiegł. Gdzieś znad Wisły wyskoczyła błyskawica, potem druga i trzecia. Przystałem liczyć.

Jednostajny szum deszczu. Opuszczam rękę, żeby pogłaskać Norę, pies ułożył się obok tapczanu i oparł pysk na wyciągniętych łapach. Wchodzi Irmina.

I wtedy zaskakuje mnie myśl: to już było. Może niezupełnie tak, ale ja to znam. Wiem jakby nawet, co teraz nastąpi. Była już kiedyś taka sama chwila, a może podobna, a może tylko miała być. Ale już to gdzieś było. Może we mnie?

– Marek, musimy sobie teraz pomóc. Trzeba coś zrobić, bo tak dalej już nie można.

Wszystko się rozlatuje.

– Widzę. Może późno dostrzegłem, ale już widzę. Dlaczego wcześniej nic nie mówiłaś? Jakby mnie nie było. Zająłaś się swoimi sprawami...

– To nie tak, Marek. Nie tak.

– Dawniej wiedzieliśmy o sobie wszystko. Byliśmy jak bliźniaki...

– To prawda.

– Więc dlaczego teraz nie?

– Dawniej... To dobrze, że pamiętasz. Ja też. Ale dawniej byliśmy dziećmi. Zrozum to.

Musisz to wreszcie zrozumieć, bo niczego nie pojmiesz. Już nie może być tak jak dawniej...

– No, więc co? Jak ma być?

– Marek, ja chcę mieć starszego brata.

– Masz go!

I zanim zdążyłem powstrzymać te moje słowa i zostały wypowiedziane, wiedziałem już, że to nieprawda. Zrozumiałem ją. Miała rację. I byłem jej przez tę krótką chwilę bardzo wdzięczny, że nie zaprzeczyła. Powtórzyła tylko:

– Starszego brata.

– Będziesz go miała, Irma – powiedziałem. – Spróbuję.

Zamyśliła się, a potem usiadła obok mnie.

– Wszystko nam się w tym domu zaczęło walić. Za dużo na raz. Każde z nas wie o drugim zupełnie co innego. Więc sobie nie wierzymy i nawzajem w siebie przestaliśmy wierzyć. To przez nią... Nie mogę jej darować tego, co zrobiła. Ty wiesz, co się dzieje w tamtej rodzinie? U Sokołowskich? To jest piekło. A ja słyszałam o tym od Ewy dzień po dniu, dzień po dniu, Marek...

– Dziadek wie?

– Tak. Narobiła ludziom krzywdy...

– I tylko tyle? Zrobiła komuś krzywdę. Tylko tyle o niej wiesz?

– To mało?

– Mało – powiedziałem. – Za mało, żeby przestać ją kochać, Irma. Dla mnie za mało.

Bo nic nie wiesz o niej samej...

– Bronisz jej?

– Tak. Spróbuję.

Deszcz wciąż zacinał w okno, wiatr targał anteną. Irmina skuliła się, jakby tamten

chłód i tu docierał, przenikał przez szyby.

– Nie mówiłam ci nic o mamie przez długi czas. Ona mi też niczego nie powiedziała. Wiem o jej sprawach tyle, co od ludzi i co sama widzę. Ukrywałam to przed tobą. Tak, jak i ty ukrywasz przed nią to, co wiesz o mnie. Albo co wydaje ci się, że wiesz. Myślę o tych dwóch dniach i dwóch nocach...

– O tym nie mówmy!

– Nie. O tym też trzeba sobie wreszcie kiedyś powiedzieć.

– Nie teraz, Irma. Teraz trzeba co zrobić, tak powiedziałaś przecież. Trzeba coś zrobić, bo tak dalej już nie można. Co zrobimy?

– Trzeba przestać kłaniać.

– Tak – powiedziałem. – Ale najważniejszy jest teraz dziadek.

– Najważniejszy. Marek... – i urwała. A po chwili: – Jak myślisz, czy on zdaje sobie sprawę ze swojego stanu?

– Tak. On wie, że to koniec.

Irmina patrzy na mnie. Powiem jej.

Usłyszy to, co zrozumiałem dzisiaj przed godziną. Tam, w szpitalu.

– On chce nam wszystkiego oszczędzić. Chce po cichu, nagle zamknąć za sobą drzwi, wycofać się niepostrzeżenie. Rozumiesz mnie?

– Boże... – powiedziała – a przecież mi przyrzekł, że wróci do domu. Nigdy dotąd mnie nie oszukał. Dlaczego chciał teraz to zrobić?.

– Bo on wie, że ten jeden, jedyny raz wybaczysz mu, jeśli nie będzie mógł dotrzymać słowa. Ja go dzisiaj załamalem, Irma. I chyba nie tylko tym, co mu powiedziałem. Dziadek chciał, żebym ukrył przed tobą wiadomość o jutrzejszej operacji. Nie ukryłem...

– Więc wszyscy się oszukujemy – mówiła bardzo cicho, do siebie, jakby mnie nie słuchając, mówiła z goryczą – kłamiemy, bo może tak bardzo się kochamy, tak? Trzeba przestać kłamać...

Milczeliśmy obydwój. I wtedy właśnie sobie pomyślałem: co się dzieje w drugim człowieku, kiedy patrzy na ciebie i ty patrzysz mu w oczy, i nie ma między wami słów?

A potem Irmina powiedziała, że weźmiemy to wszystko na siebie.

Burza ustępowała powoli, zgasilem lampkę, za oknem robiło się coraz jaśniej.

– Pokazywał ci kiedyś tamto zdjęcie? – spytała nagle Irma.

– Czyje?

– No, tamto zdjęcie z szuflady. Nie pokazywał?

Zerwała się i otworzyła drzwiczki starej, okropnej bielizniarki dziadka. Nora podniosła łeb, warknęła cicho.

– Słyszysz? Pies nam daje do zrozumienia, że ruszamy nie swoje rzeczy! – powiedziałem.

XV

Byliśmy przecież nie u siebie. Zawsze, kiedy znalazłem się w pokoju dziadka, czułem to Wyraźnie. Coś trudne uchwytnego sprawiało, że w tych źle wyglądzonych, ledwo pociągniętych farbą chropawych ścianach, które niczym nie różniły się od innych ścian naszego mieszkania i wszystkich mieszkań nowego budownictwa, jakie znałem, tylko tu czułem się zawsze jakby w innym czasie.

I nawet chyba nie ta fotografia na ścianie decydowała o tym, ani góralskie obrazki na szkle, które dziadek sobie powiesił, choć była to dziwna fotografia, amatorska, robiona najwyraźniej z góry, pewno z okna. Powiększenie rozmazało ją, zatarło rysy twarzy i szczegóły. Dwoje ludzi, nasz dziadek i babka, której nie znaliśmy, a nasza mama ledwo pamiętała, dwoje ludzi szło obok siebie, chodnikiem, a na pierwszym planie, tuż koło nich, ale tyłem do fotografującego, dwóch niemieckich żandarmów w hełmach i z karabinami.

– Po co dziadek trzyma tych szwabów na ścianie? – pytałem kiedyś. – Obciąć ich, wykadrować...

– Nie. Taki był czas, taka była jego prawda – powiedział.

W tym pokoiku dziadka zawsze czułem się nie u siebie, ale czułem się dobrze.

Irmina nie szukała na ślepo, widocznie dobrze znała zawartość szuflady. Z jakiejś wypchanej koperty wyjęła zdjęcie... zaraz, swoje własne zdjęcie? Przez moment nie mogłem się zorientować, spojrzałem na Irmę zdziwiony. Podała mi fotografię bez jednego słowa.

– To niemożliwe, żebyś była aż tak podobna... – powiedziałem. – Gdyby nie to, że dziś nie robi się zdjęć na takim papierze... No i ona jest od ciebie chyba starsza.

– Tylko o dwa lata. Ma tutaj siedemnaście lat i właśnie taką ją poznał. Wiem o niej bardzo dużo od dziadka. A resztę wiem od siebie samej...

– Dlaczego mi pokazałaś to zdjęcie? – spytałem. – Właśnie dzisiaj, w tej chwili?

– Żebyś lepiej zrozumiał, Marek. Trudno tak wszystko w słowach powiedzieć...

Wszystko! Wszystkiego w ogóle powiedzieć się nie da. Ale choćby tyle, ile się chce, ile trzeba. Chciałam, żebyś więcej wiedział...

Spojrzałem na nią uważnie.

– Co, Irma?

– On tu wróci.

– Dziadek?

– Tak.

Więc chyba nie zrozumiała – myślę przez moment – albo nie może uwierzyć, że po tej operacji już nie będzie powrotu. Może to nawet lepiej, niech ma nadzieję. Ale to ja nie zrozumiałem. Widzę po jej oczach, że chce mi powiedzieć więcej, tylko nie potrafi.

– On tu wróci, Marek, zobaczysz. Nie zostawi nas teraz samych. Tak jak ją zostawił i przez całe życie nie może sobie tego darować...

– O czym ty mówisz? Po co posłałaś Zawistowskiego do szpitala? – patrzyłem na nią i czułem, że znowu zaczynam się bać. – Irmina, coś ty zrobiła? Dlaczego dręczymy tego człowieka, dlaczego nie zostawimy dziadka w spokoju. Teraz, kiedy już tylko tego chce. Irmina, zrozum, że nie mamy prawa...

– Mamy prawo. Nie pozwolę mu uciec od nas. Potrzebujemy go teraz najbardziej. I on nas potrzebuje. Trzeba mu było to powiedzieć tak, żeby w to uwierzył. Dlatego pojechał Zawistowski. I dziadek wróci, Zrobi to dla nas.

– Dla ciebie.

– Tak. A może dla niej?

Wzięła ode mnie zdjęcie, schowała do koperty.

– Albo dla siebie samego? Chyba właśnie tak. Dla siebie to robi.

– Wiesz o nich coś, czego ja nie wiem. Tak dużo ci mówił?

– Ostatnio ciągle mówił o niej.

– Tylko tobie, Irma. Dlatego, że jesteś taka podobna?

– Może. A może dlatego, że tylko ja go słuchałam? Ja wiem, że ciebie to złościło...

– Dziadek w tym domu widział tylko ciebie. Od dawna wiedzieliśmy o tym obydwój z mamą...

– A naprawdę nic nie wiedzieliście o nim. Nic. Nawet tego zdjęcia nie znałeś. Nawet nie wiesz, że ta fotografia na ścianie to ich ostatnia fotografia. Teraz będziesz wiedział, dlaczego dziadek w rocznicę powstania chodzi całymi godzinami po ulicach miasta od jednego miejsca straceń do drugiego. Naszą babkę aresztowano i nawet nie wiadomo, na jakiej ulicy została rozstrzelana. Pamiętasz, mówiłeś: dziadku, już wystarczy tych świeczek, przecież tu idzie tylko o symbol. A jemu nie szło o żaden symbol, tylko szukał tego jednego miejsca, właśnie tego jednego. I ja z nim chodziłam, Marek.

– Daj już spokój – powiedziałem – przestań.

Wszędzie pełno kasztanów, wydaje się, jakby tylko one rosły w tym parku. Podobnie jest wiosną, kiedy kwitną białą i różowo. Potem wtapiają się w zieleni innych drzew, żeby przeczekać, aż przyjdzie ich prawdziwa pora. A teraz pękają już dojrzałe, kolczaste kule i spadają na ziemię rozrzucając łupiny, które więdną i żółkną szybko. Pełno tych łupin dokoła, ich kolce już nie kłują, to przecież już tylko śmieci... Idę przez park.

Drzewa, dużo drzew. Zapełniają przestrzeń, nie czuje się, wśród nich odległości, idziesz od drzewa do drzewa i między nimi, może już sto metrów, może tysiąc, i nie wiesz, jak daleko jeszcze.

– Co będzie z nami?

– Z nami?,

– Jak. Z tobą i ze mną. Jak będzie?

– Nie wiem.

Zawistowski kiwa głową, potakuje. Więc on też nie wie. Doszło do tej rozmowy, bo musiało dojść. A teraz obydwaj milczymy. I każdy czeka, nie ma mądrzejszego. Co powie, żeby nie mówiąc o sobie zostać zrozumianym. Żeby powiedzieć dokładnie tyle, ile koniecznie trzeba. Odeszliśmy od siebie może zbyt łatwo, a teraz każdy krok w drugą stronę, z powrotem, ważymy czujnie i nieufnie.

– Czego ty właściwie nie możesz mi darować? Czego najbardziej? Już wiesz?

On jest odważniejszy. Albo chce powiedzieć, że jest bardziej winien, przyznaje to.

Więc dobrze. On nic nie stracił, ja straciłem. Ale ja go bardziej potrzebuję. Więc dobrze, zostawmy wszystko tam, gdzie jest teraz. Każdy z nas wygrał swoje.

– Już wiesz, Marek, czego najbardziej nie możesz mi darować?

– Przeciwnie. Już teraz nie wiem.

Zawistowski uśmiecha się do mnie, zrozumiał to nieco inaczej. Nie szkodzi, niech tak będzie. Jest teraz jakby swobodniejszy, zrobiliśmy jeden krok.

– Tamta sobota... – zaczyna – to znaczy, ta wycieczka Irminy, nieudana, na którą nie pojechała... chcesz wiedzieć, jak było?

– Jeśli te potrzebne. A muszę wiedzieć?

Waha się przez moment.

– Chyba tak. Choćby trochę...

– Choćby trochę. Dobrze. Więc gdzie ona była przez te dwa dni i dwie noce?

– Na działce.

– Gdzie?

– Na Okęciu, na działkach. Przecież wiesz, że mamy tam ogródek z altaną, a właściwie z takim letnim domkiem...

– Wiem. Byliśmy raz z Kmitą.

– No, właśnie.

– Więc tam.

Zawistowski potakuje. I mówi:

– Przyszedłem rano pod ich szkołę. Dziewczyny ładowały się już do autokaru. Wtedy przybiegła Sokołowska. Szukała córki...

– Ewy? Jak to: szukała?

– Ewa uciekła w nocy z domu. Po jakiejś awanturze tam u nich. Po prostu wyszła, nie wiadomo dokąd. I matka szukała jej, dlatego przybiegła rano pod szkołę. To nie było wesołe, Marek...

– Ewy nie było przy autokarze?

– Nie. Oczywiście, że nie.

– Co Irmina?

– Zgłosiła wychowawczyni, że nie może jechać na wycieczkę z powodu choroby

dziadka i została. Autokar odjechał. Kazała mi odprowadzić matkę Ewy do domu i wrócić pod szkołę. Zaczęliśmy razem szukać tej dziewczyny. To też nie było wcale wesołe...

– Gdzie można szukać? Na ślepo?

– Właśnie. Jeździliśmy cały dzień po mieście, byliśmy chyba we wszystkich parkach, nad Wisłą, wszędzie, gdzie się dało. Wieczorem wzięliśmy się za dworce. Ja już padałem na twarz, miałem wszystkiego dosyć, ale Irmina nie chciała zrezygnować. Tego dnia dobrze poznałem twoją siostrę...

– Potem poznałeś jeszcze lepiej.

– Tak – powiedział spokojnie Zawistowski. – Ale podczas tej soboty poznałem ją już bardzo dobrze.

– Znaleźliście Ewę?

– Późno wieczorem, na Dworcu Wschodnim. Nie chciała wracać do domu. Zawiozłem je obie na Okęcie, na naszą działkę. Tam spały jedną i drugą noc... Więcej możesz usłyszeć już tylko od Irmy.

– Wiem. I nie będę jej pytał.

– Dlaczego?

– Bo nie.

– Skąd ty wiedziałeś, że Irma nie wyjechała na wycieczkę?

– Od Czeremchy. Ale dowiedziałem się dopiero w poniedziałek, kiedy siostra Kaśki wróciła z tej wycieczki. Kiedy przyszedłem do domu, Irmina myła włosy...

– No, tak – powiedział Zawistowski. – Potem był ten wypadek.

Więc on nie wie – pomyślałem. – Nie powiedziała o tym nawet jemu. Dlaczego? Może i ja nie powinienem mu tego mówić?

– Co będzie z nami? – pyta Zawistowski. – Jak będzie? Z tobą i ze mną, Marek.

– Powiedz mi, co mówiłeś dziadkowi w szpitalu? Z czym ona cię tam posłała?

– Nie potrafię ci tego powtórzyć. To było bardzo trudne.

– Nie chcesz.

– Nie mogę. Zapytaj Irminę.

– Wiesz, że nie będę pytał.

– To lepiej. Masz rację, nie pytaj.

– Mówiłeś dziadkowi także o was?

– Nie rozumiem...

– Rozumiesz. O Irminie i o tobie. Kazała ci o tym powiedzieć?

– Tak.

– Powiedziałeś?

– Tak...

– Co dziadek?

– Nic. Ani jednego słowa. Ani jednego...

– A następnego dnia rano wrócił do domu. Wypisał się ze szpitala w ostatniej chwili, tuż przed operacją. O czym myślał tamtej nocy?

– Tego się nie dowiemy. Nigdy.

– I chyba dobrze.

– Tak.

Nie wszystko trzeba wiedzieć, nie wszystko można. Zrozumiałem to z trudem. Każda myśl tak niełatwo torowała sobie drogę, zanim stała się moją własną myślą, jakby przychodziła z bardzo daleka. Nie powiem mu, że uderzyłem wtedy Irminę. Za niego. Za to, co myślałem o niej. Za wszystko, czego o mojej siostrze nie wiedziałem. Jeśli ona mu tego sama nie powiedziała, dała mi tę właśnie szansę: że nie muszę mówić.

– Wiesz już, jak będzie, z nami?

– Wiem – mówi Zawistowski. – Tak, jak jest teraz.

Podaliśmy sobie ręce.

– I tak, jak będzie – powiedziałem.

Idę przez park. Wszędzie pełno kasztanów. Drzewa, dużo drzew. Zapelniają przestrzeń, która traci wymiary. Wśród drzew nie czuje się odległości, idziesz od drzewa do drzewa i między nimi, może już sto metrów, może tysiąc, i nie wiesz, jak daleko zaszedłeś.

XVI

Tak wiele drzew w tym parku. Kiedy przystajesz i one stają z tobą, jakby zatrzymywał się czas. I znowu idziesz, i wtedy czas zaczyna płynąć, wyraźnie wyczuwalny. Idąc wśród drzew czujesz, że idziesz w czasie.

Chyba dobrze być malarzem. Tak sobie myślę: powiem kiedyś Ewie, żeby namalowała dużo drzew, różnych. I na wszystkich żeby wisiały zegarki. Dużo zegarków. Wielkie i małe, wiszące na drzewach, a na każdym zegarku żeby była inna godzina. Sam namalowałbym to, ale nie potrafię, więc poproszę Ewę. Pewno mi odpowie:

– To już było. Może u Salvadore Dali albo u kogo innego, musiało już być. Wszystko już było. Ale możemy spróbować...

A ja wtedy:

– Szkoda, że nie umiem malować, choćby jak ty.:

– Dlaczego? – może spytać.

– Bo tylko malarz potrafi zatrzymać czas, w tej właśnie chwili, którą wybrał. Żeby mu dać, jaką chce, barwę, z pełnej skali kolorów, od czerni do czerni, prawda?

Cofnęłaby się pół kroku i przymrużyła oczy. Bo to by było niezłe powiedziane. Ale ja tego nie powiem. I może w ogóle nie będzie nigdy takiej rozmowy. To nieprawda, że tylko malarz potrafi. Po co mówić nieprawdę?

Już trzeci raz przechodzę koło liceum plastycznego, które mieści się tu w łańcuchowym parku. Właśnie wysypała się z niego gromada dziewcząt z teczkami i wielkimi blokami rysunkowymi. Dlaczego robią tyle hałasu?

Tak samo widocznie myśli dozorca parkowy, bo woła za nimi:

– Ciszej tam, artystki! Musicie tak wrzeszczeć?

Wśród dziewcząt jest i Ewa. Spozstrzega mnie, odchodzi od grupy. Nie dziwi się, że tu stoję. Patrzę na nią i nie wiem, co powiedzieć.

– Czekasz na mnie?

– Nie... przechodziłem.

– Nie byłeś w szkole? – pyta.

– Nie.

– Stało się coś?

– Tak.

– Z waszym dziadkiem?

Nie odpowiadam, więc ona wie już, że się stało, i milczymy obydwój.

– Odprowadzę cię do bramy – mówię po chwili. – Chodź!

– A ty?

– Pójdę przez park, poszukam Irminy. Trzeba jej to powiedzieć. Trzeba ją zabrać do domu. Ona tu gdzieś musi być. Poszukam...

– Iść z tobą?

– Nie. Muszę sam.

– Ale czekałeś tu na mnie? – pyta. Zatrzymuje się, cofa o pół kroku i mruży oczy. – Przecież czekałeś.

– Chyba tak.

Już brama, mijamy dozorcę. Na przystanek podjeżdża autobus linii 107. – Leć! Jesz-

cze zdążysz – mówię.

– Może jednak iść z tobą? Może będę potrzebna Irminie? Przyjść do was wieczorem?

– Nie. Lepiej nie.

– Kiedy się zobaczymy?

– Przyjdę tu może pod waszą szkołę. Poczekam, jak dzisiaj. Jeśli chcesz. Leć już, Ewa...

Wracam do parku. I znów drzewa, i znów lecą z nich kasztany. Przejdę przez całe Łazienki, muszę gdzieś tutaj znaleźć Irminę. Wiem przecież, że ona tylko tu może dzisiaj być.

Najgorętszy tego lata był lipiec. Słońce budziło nas każdego dnia bardzo wcześnie i dopiero jego zachód ostatecznie wypraszał z parku. W ciągu dnia tylko raz jechaliśmy stosiódemką do domu, czasem nawet nie wszyscy. Jeśli komuś nie bardzo chciało się jeść, ktoś inny przywoził mu kanapki i coś do picia.

Często przechodziliśmy w południe na Agrykołę. Na wszystkich boiskach chłopcy grali w piłkę, wzniesając tumany kurzu. Oba baseny były czynne, ale tłok, a jeszcze bardziej straszliwy wrzask dzieciaków, zaraz po kąpieli wyganiał nas z powrotem do Łazienek.

– Sobieski dymi! – powiedziała któregoś dnia Katarzyna, kiedy przechodziliśmy obok pomnika.

Rozgrzane powietrze drgało nad powierzchnią stawu, nad asfaltem wspinającej się w górę Agrykoli i wokół kamiennego cokołu. Zawistowski rozejrzał się, czy nikt nie widzi, przesadził ogrodzenie i wszedł na pomnik.

– Najgorzej Turkowi, bo ma ogoloną głowę. Prawie, jak ja! – mówiła Irma i widać było, że już nie przejmuje się swoimi zniszczonymi włosami. Dziadek jej to wytłumaczył. Włosy zresztą pomału zaczynały odrastać, zrezygnowała z noszenia chusteczki. – Jak już tam jesteś, dotknij łepetyny Turka. Gorąca?

– Jeszcze jak! – zawołał Zawistowski. – Prawie parzy. Panie profesorze! Dlaczego właściwie mówi się o kimś: gorąca głowa? A raczej, dlaczego to ma być komplementem? Dziadek uśmiechał się, jak najczęściej starał się uśmiechać i myśmy dostarczali mu do tego okazji. Poklepując Turka po ogolonym łbie, Zawistowski czekał na odpowiedź. Nie wiem, czemu pomyślałem, że powinienem poczuć się urażony. Czyżbyśmy nawet klepiąc Turka mówili zawsze tylko o sobie, o nas?

– Po namyśle zgadzam się z tobą – odpowiedział Zawistowskiemu dziadek. –

A namyślałem się pół wieku. Gorące głowy trzeba leczyć. To nie jest komplement.

– A gorące serca? – spytała Czeremcha. Pociągnęła głośno nosem i wszyscy roześmiali się z tego. – Przestańcie chichotać. Wzruszyłam się własnymi słowami, to już jest coś!

– Niech mu dziadek odpowie, że recepta brzmi: gorące serce, zimna głowa... – mruknąłem ironicznie. – Przecież on na to czeka!

– Nie trzeba! – powiedziała Irma i wzięła dziadka pod rękę. – Chodźmy, bo tu za gorąco. Nie trzeba mu tego mówić: on to wie. Zawistowski, złaż z pomnika!

– Może od ciebie wie? – spytałem.

– Może ode mnie...

Lipiec był gorący. Pełne słońce i niebo czyste aż po horyzont. A jeśli nawet pojawiały się białe, kłębiaste chmury, gromadziły się tylko tam gdzieś, właśnie na horyzoncie, wieczorami.

W sierpniu padały deszcze i wiele dni przesiedzieliśmy w domu. Znosiłem książki z biblioteki dzielnicowej, zapisałem do niej również Irmę. Bo na jedną kartę pożyczano tylko dwie książki, a nas było przecież troje.

Dziadek początkowo martwił się, że nie mamy wakacji, ale szybko przestał o tym mówić. A my wiedzieliśmy, że czuje się coraz gorzej, i również nie mówiliśmy o tym ani słowa. Tak, jakby została zawarta umowa, że w naszym domu nie mówi się o sprawach oczy-

wistych, zbyt oczywistych, aby można o nich mówić.

Byliśmy prawie zawsze razem, całymi dniami, jak nigdy. I coraz bardziej stawało się jasne, że tym domem kieruje Irmina. Domem, czy raczej nami? Ona jakby decydowała o wszystkim, co czuliśmy, i nastrój każdego dnia, każdej prawie godziny lepiła jak w plastelinie, tak bardzo poddawaliśmy się jej obydwoj.

Mama żyła obok nas, przygaszona i nieobecna, wykonująca w milczeniu wszystkie te mechaniczne czynności, jakie musiała wykonać. Z Irminą prawie nie rozmawiała. Tylko tyle, ile koniecznie już trzeba było. Rano wychodziła bardzo wcześnie, kiedy spaliśmy jeszcze. Nagle urwały się nocne i niedzielne dyżury w szpitalu. Prosto z pracy przyjeżdżała do domu. Robiła dziadkowi zastrzyk, a potem już tylko wychodziła do sklepów i szybko wracała, obciążona siatkami. Telefon milczał, nikt do nas nie dzwonił. Jeśli nie liczyć Czeremchy i Zawistowskiego.

Często mama była w domu wcześniej, niż my wracaliśmy z parku. Zastawaliśmy ją wtedy leżącą na tapczanie, z otwartymi oczami. Nie spała.. Nigdy nie pytała, co robiliśmy przez cały dzień. Na nasz widok zrywała się, jakby przyłapaną na czymś niewłaściwym, szła do kuchni i po chwili słychać było:

– Tatusiu, zastrzyk przygotowany...

A potem nie wychodziła z kuchni aż do wieczora, kiedy miała już zrobiony obiad czy raczej kolację dla wszystkich. Nie prosiła nas o żadną pomoc, jak to często bywało przed wakacjami. Więc sam się zacząłem zgłaszać.

– Trzeba coś zrobić? Może pójdę do sklepu?

– Nie trzeba. Wszystko mam... – odpowiadała. – Posprzątajcie tylko rano mieszkanie.

Jeśli wstaliśmy zbyt późno i spieszyło nam się do Łazienek, pościel zostawała na wierzchu, rozgrzebana po nocy. Nie u dziadka, bo wstawał wcześniej i zawsze sam u siebie sprzątał. I nie u mnie w kuchni, bo gdybym nie zwinął swojego składanego łóżka, to wcale nie można by się po niej poruszać. Ale w dużym pokoju, gdzie spała mama z Irminą, zostawał czasem bałagan, który dopiero mama sprzątała po południu. Nigdy nie zwróciła Irmie uwagi. Ale mnie to zaczęło denerwować. Któregoś dnia, już w drzwiach, kiedy wychodziliśmy rano, powiedziałem:

– Idźcie, dogonię was po drodze. Jeszcze coś tu mam do zrobienia...

Zabrałem się do sprzątnięcia pokoju. Po chwili wróciła Irmina.

– Dlaczego zostawiłaś dziadka samego?

– A dlaczego ty nie powiesz wprost, o co ci chodzi?

– O nic mi nie chodzi.

Chowałem pościel nie zwracając na nią uwagi. Uprzątnąłem to, co się dało z wierzchu. Poszedłem po odkurzacz; Irminą stała oparta o drzwi. Nie mówiła słowa. Przejechałem parę razy po dywanie, spojrzałem na zegarek.

– Gotowe. Wszystko razem osiem minut.

– Bo niedokładnie. Mnie by to zajęło piętnaście. A jej dwadzieścia pięć. I co by się stało? Ma teraz dużo czasu...

– Tak nie można, Irma.

– Wiele rzeczy nie można, a jednak ludzie je robią! Ona też. A teraz ma sporo czasu.

Zauważyłeś, że skończyły się dyżury? Nie widzisz, że została sama? Nie zrozumiałem,

– Sama?

– Tak. Chodźmy, dziadek czeka na ulicy...

Irma zbiegła po schodach, kiedy zamykałem drzwi. Usiłowałem ją zatrzymać, żeby o coś spytać. Nie udało mi się, nie chciała rozmawiać.

– Irma! – krzyknąłem. – Poczekaj...

– Nie! – odpowiedziała z dołu.

Na przystanku autobusu, kiedy dziadek kupował w kiosku bilety, Irmina podeszła do

mnie.

– Pamiętasz, była umowa, że nie będziemy się okłamywać, prawda?

– Właśnie. I co?

– I ja nie kłamię – powiedziała. – Ja tylko nie powinnam ci wszystkiego mówić. Chyba to rozumiesz. Przecież sam obiecałeś Zawistowskiemu, że nie będziesz pytał...

– Powtarzał ci?

– Myślę, że nie całą rozmowę. Między wami też są takie sprawy, które tylko wy możecie rozstrzygnąć. Powtórzył mi to, co dotyczyło mnie...

– Właśnie. Mówiłem, że nie chcę pytać o ciebie. O to, co zrobiłaś. Ale teraz idzie o naszą mamę. Co to znaczy, że została sama? Chciałbym...

– Nie – przerwała mi. – Nie, Marek. Ty nawet tego nie powinieneś chcieć wiedzieć.

– Dlaczego?

– Uwierz mi. Tak będzie lepiej. Dla was.

– Co znaczy: dla was?

– Dla ciebie i dla mamy.

– A ty? Ty, siostrzyczko kochana, możesz, oczywiście, wszystko wiedzieć...

– Mogę czy nie mogę? Lepiej byłoby nie wiedzieć. Ale wiem. Co na to poradzę?

Zdenerwowałem się, ale mówiłem najspokojniej, jak umiałem:

– Tak. Wszystko o niej wiesz. Wszystko potrafisz ocenić. To jest złe, tamto jeszcze gorsze. Zrobiła komuś krzywdę, ty jej nie kochasz. Teraz znowu cieszysz się, że została sama... Ty będziesz określać, co kto powinien wiedzieć i robić, a co nie. Kto ci dał takie prawo, Irma?

– Dziwnie mówisz do mnie. Chcesz mnie obrazić? Dlaczego?

– Nie, Irma. To ty chciałaś mieć starszego brata. Prawda? No, więc?

Dziadek wracał już do nas, trzeba było szybko kończyć tę rozmowę. Widziałem, że zaskoczyłem Irminę.

– Miałam co innego na myśli. Nie powinieneś wiedzieć za dużo o sprawach naszej mamy. Ze mną jest inaczej, ja jestem kobietą...

– O, to coś zupełnie nowego! – powiedziałem. Dziadek stał już obok nas i słuchał.

– Masz rację, coś nowego. Myślałam, że wreszcie pojąłeś.

– Co dziadek na to? – spytałem. – Więc mamy już w domu dwie kobiety.

– Tak – i dziadek uśmiechnął się do mnie. – Sam widzisz, że coraz trudniej robi się na tym świecie.

Ale mnie nie było do żartów.

– Coś się jednak w tym rachunku nie zgadza – powiedziałem. – Bo jeśli już tak, to właśnie ty, Irma, powinnaś ją lepiej rozumieć. Prawda?

– Autobus jedzie... – odezwał się dziadek. Irma milczała.

XVII

Wieczorem siadaliśmy wszyscy przed telewizorem, na swoich stałych miejscach. Obserwowałem czasem mamę i zawsze wtedy miałem wrażenie, że patrząc na ekran nie wie, co się na nim dzieje. Kiedyś wstała nagle, zbyt nagle, w połowie filmu i wyszła do przedpokoju.

– Gdzie jest smycz? – spytała.

Spojrzałem na dziadka. Siedział nieporuszony. Irma również. Patrzyli w telewizor.

– Szukam smyczy! – powtórzyła mama głośniej.

– Nora! Idziesz na spacer... – powiedziałem. – Słyszysz? Spacer!

Pies zerwał się i poleciał do pokoju dziadka. Przyniósł smycz, którą chował zawsze w kącie za tapczanem, przy swoim legowisku. Czyżby mama, o tym nie wiedziała? Ani razu w ciągu roku, kiedy tu mieszkamy, nie zauważyła tego?

Nora stała w przedpokoju trzymając smycz w pysku i machała ogonem, czekała. Ale

kiedy mania wyciągnęła w jej stronę rękę, pies nagle odskoczył i warknął. Po chwili jeszcze raz to samo. I jeszcze raz.

– Nora, oddaj smycz! – zdenerwowała się mama, podnosząc głos. – W tej chwili oddaj!

Pies wystraszył się, nigdy na niego nie krzyczeliśmy w ten sposób. Powoli, ostrożnie przybliżył się, obszedł mamę w bezpiecznej odległości i położył smycz na podłodze, przy moich nogach. Teraz już musiałem się wtrącić.

– Może pójdziemy razem? – zaproponowałem. – Ale po filmie. Szkoda tak w polowie...

Mama odwróciła się i bez słowa wyszła z mieszkania. Pies został. Wróciłem do telewizora.

Ktoś z nich powinien się odezwać – myślałem. – Przecież nie mogą udawać, że nic się nie stało i niczego nie zauważyli. A jednak Irmina i dziadek wpatrzeni byli w film. Jakby chcieli dać mi do zrozumienia, że to nie ich sprawa. No, więc dobrze. Niech każdy robi to, na co ma ochotę. Nie chcę oglądać filmu. Nie interesuje mnie. Od początku mnie nudził. Wyjdę. Nie było zbyt ciemno. Obeszliśmy z Norą cały skwer, potem pobiegliśmy do Syrenki. I znowu szybkim krokiem w jedną i drugą stronę, od wiaduktu kolei elektrycznej, aż do pierwszych domów Mariensztatu. Coraz mniej ludzi było już nad Wisłą, dochodziła jedenaśta.

Mama siedziała na jednej z ławek wciśniętych w krzewy rosnące na skwerze. Od razu ją tam spostrzegłem, ale nie podchodziłem. Musiała nas widzieć. Początkowo na sąsiednich ławkach siedziało sporo osób, potem została już tylko ona.

Może czeka na kogoś? – myślałem. – Wyszła, żeby z kimś się zobaczyć i ten ktoś lada chwila nadejdzie. Gdyby chciała, mogła mnie przecież zawołać. Ale gdy przyszła już noc i ona tkwiła wciąż na tej ławce z głową podpartą na dłoniach, zrozumiałem, że nikogo się nie doczeka i nikt do niej nie przyjdzie, jeśli ja tego nie zrobię. A może na mnie czekała?

Podszedłem z psem do ławki, podniosła głowę.

– Nie wołałaś mnie... – powiedziałem.

Jeśli nawet płakała, to dawno. Teraz miała suche, szeroko otwarte oczy, puste.

– Chcesz być sama?,

– Nie.

– Widziałaś mnie, jak tędy przechodziłem. Raz i drugi.

– Widziałam.

– Ale przecież mnie nie zawołałaś, prawda?

– Nie.

Ciepło było i siedzieliśmy długo na tej ławce. Dudnienie mostów przycichło, po kolejnym rzadziej już przelatowały oświetlone pociągi elektryczne. Każdy z nich Odprowadzałem spojrzeniem. Jechali w nich ludzie w tę i w tamtą stronę, do swoich domów na jednym albo drugim brzegu Wisły. A dla nas wyglądało to, jakby znikąd do nikąd.

Mama też patrzyła na pociągi, przyciągały wzrok te smugi światła łączące na chwilę oba brzegi rzeki tam, wysoko, na linii mostu i pod nim, odbijając się w wódzie. A potem znowu ciemno i brzegi odsuwają się od siebie, choć pusty most wciąż usiłuje spaść je i przybliżyć.

– Patrzysz na pociągi – powiedziała mama. – Zawsze tak, kiedy wychodzisz wieczorem z psem? Może tęsknisz za kimś?

– Tak – skłamałem, żeby pozwolić jej mówić o sobie. Ale milczała. Więc ja mówiłem:

– Lubię patrzeć na pociągi, nie tylko kiedy jadą. Na dworcu też je lubię, na dużym dworcu, kiedy stoją przy każdym peronie i nie wiadomo, który pierwszy z nich odjedzie. Tylko potem jest trochę dziwnie...

– Kiedy zostaje pusty tor. Pociąg już odjechał, peron pustoszeje. I trzeba wyjść

z dworca i wrócić do domu. To chciałeś powiedzieć? – i nieoczekiwanie dla mnie mama uśmiecha się. – Oj, Marek...

– Skąd wiesz?

– Na tylu filmach były takie sceny. Choćby dzisiaj w telewizji. Przecież wyszliśmy z domu właśnie przy takiej scenie. Ja ciebie pytam, czy za kimś tęsknisz, a ty mi opowiadasz filmy. No i po co to?

Naiwny jestem – pomyślałem. – I mama zna mnie może lepiej, niż sądzę. Jest czujna, wiedziała, o co mi chodzi, nawet kiedy zdawało mi się, że mówię o czymś innym. Dostałem nauczkę, więc jeden zero. Bo przecież to tak, jakby powiedziała mi: przestań śledzić moje myśli, nie masz do tego żadnego prawa. A równocześnie punkt dla mnie, więc jeden do jednego. Bo już teraz wiem, że nie przypadkowo wstała od telewizora tak nagle, właśnie w tym miejscu, przy tej scenie. Czy musimy grać dalej?

– Chciałbyś gdzieś wyjechać, prawda? – spytała mama. – Marnujesz wakacje.

A nikomu to i tak nic nie pomoże. Nikomu...

– Tutaj też można spędzić lato.

– Spędzić lato. Przecież to nie to samo, co mieć prawdziwe wakacje.

– Ty z nami nie wyjeżdżasz już od dwóch lat albo trzech. Dawniej było inaczej. Jeździliśmy wszyscy razem.

– Byliście mali... Mówisz, że to już tak dawno? Dobrze liczysz, widzę. Tak. Już trzy lata.

Zamyśliła się. A po chwili:

– Dlaczego ty właściwie nie wyjechałeś z chłopcami na ten obóz sportowy do Niemiec?

– Teraz o to pytasz? Mówiłem już, że spóźniłem się Wtedy na pociąg... „Pociąg już odjechał, peron pustoszeje. Trzeba wyjść z dworca i wrócić do domu”. Więc ja to znam nie tylko z filmu w telewizji, tak jak ty...

Udała, że nie rozumie.

– Jeszcze chyba będą z tego jakieś nieprzyjemności, co? Przecież szkoda miejsca, to kosztuje. Mógł jechać kto inny.

– Tak.

– No, widzisz. Jakbyśmy jeszcze mało mieli zmartwień. Nie mam cię teraz gdzie wysłać. Bo niby dokąd? I za co? Ona mogłaby pojechać w sierpniu na kolonię...

– Irma? Nie pojedzie.

– No, właśnie.

– Mamo, ty się martwisz takimi sprawami? – spytałem.

– Dziwi cię to? – zachnęła się nagle. Zupełnie nie rozumiem dlaczego. – Tak? Dziwi cię? Więc wyobraź sobie, że się martwię. Takimi sprawami. Właśnie takimi!

– Zmęczona jesteś, powinnaś wziąć urlop. I wyjechać. Choćby na krótko...

– Co ty chcesz przez to powiedzieć?

– Nic. Ja tylko...

– Czy ty kpisz ze mnie? – mama podniosła głos. A pies, który kręcił się po skwerze, podbiegł teraz do nas i zaczął szczekać. – Chcesz mi powiedzieć, że i tak wam nie jestem do niczego potrzebna? Nie jestem wam potrzebna i nie jestem was warta? Jestem... Odpędź tego psa, bo mnie doprowadza do szału! Ale już!

Wstałem z ławki, podszedłem do Nory i przykucnąłem przy niej.

– Cichutko, piesku, nie bój się... To nie na nas. Bądź cicho...

Zdenerwowałem się, czułem, jak trzęsą mi się ręce, ale mogłem to ukryć głaszcząc psa. Zrozumiałem, że tu nie chodzi o moje słowa, że ja tylko potrąciłem strunę, która już wcześniej drgała. Niechący potrąciłem i trzeba to teraz powiedzieć, bo inaczej ta rozmowa może między nami leżeć jak kamień, o który długo będziemy się potem przewracać.

– Dobrze. Może to jest jakiś sposób? Możemy zbić psa, możemy go skopać i wrzucić do Wisły! – posiedziałem. – A kiedy już będzie tonął, to wtedy powinien się domyślić, że właśnie on by} wszystkiemu winien...

– Co ty pleciesz? Przestań się wygłupiać, Marek.

– Dlaczego? Czy ja jeden to robię?

– Marek!

I teraz ja podniosłem głos:

– Kto ci powiedział, że nie jesteś nam potrzebna?

Cisza. Więc jeszcze raz. I jeszcze:

– Kto mówił, że nie jesteś nas warta?

Nie odpowiadała.

– Skąd ci to przyszło do głowy? Dlaczego właśnie teraz, a nie rok temu albo dwa?

Tylko akurat teraz. Bo ktoś ci to musiał teraz powiedzieć. Tak?

– Daj spokój, synku...

– Więc kto? Irma? Dziadek? Może jeszcze kto inny? Odpowiedz. Słyszysz?

Uniosła twarz, i wtedy cały ten krzyk, który był we mnie, odpłynął gdzieś w jednej chwili. I tak, jakbym zobaczył odbicie jej twarzy w wodzie, która nagle zafalowała. Na tę jedną chwilę ktoś, kto wydawał mi się zawsze tak silny, że chyba najsilniejszy, ukazał mi całą swoją bezbronność. Ona, moja mama.

Dlaczego nie spostrzegłem wcześniej, co tu jest pozorem? Silni nie przyjmują winy na siebie. Tylko słaby zawsze uwierzy, że wszystkiemu jest winien. I ona już uwierzyła, rzucono w nią kamieniem bardzo celnie. A ja w tej jednej chwili sam sobie pomogłem zrozumieć: wszystko, co jeszcze niedawno myślałem przeciwko niej, jest przecież jej obroną. I było mi przykro nie dlatego, że odkryłem, jaka jest bezbronna. Było mi przykro, a może raczej było mi wstyd, że nie zrobiłem dotąd najmniejszego nawet gestu, z którego mogłaby zrozumieć, że jestem po jej stronie przeciwko każdemu, kimkolwiek byłby. Jak jej to powiedzieć?

Pląkała. Z uniesioną do góry głową, bez jednego grymasu twarzy. A ja milczałem.

Kiedy wróciliśmy do domu, było już po północy. Irmina spała. Mamy tapczan był przygotowany, pościel zasłana i moje łóżko w kuchni rozstawione do spania.

– Jesteście już, to dobrze – powiedział dziadek. – Trochę się denerwowałem. Długo spacerowaliście...

Pogłaskał Norę i spojrzał na mnie.

– Może jutro później pójdziemy do parku, co? Musisz się przecież wyspać. A może jedźcie sobie sami na basen albo nad Wisłę. Ja bym został w domu.

– Gorzej się dziadek czuje? Boli?

– Tak sobie, różnie...

– Jeśli bardzo boli, to nie ma co się zastanawiać – powiedziała mama. – Zrobimy jeszcze jeden zastrzyk, będzie tatuś dobrze spał. Zaraz przygotuję.

– Danusiu... – zaczął dziadek.

– Słucham?

– Był telefon. Międzymiastowy.

Mama drgnęła.

– Tak. I co?

Zawahał się, czy powiedzieć przy mnie. Ale nie odchodziłem.

– On dzwonił? Czego chciał?

– Pytał, czy jednak nie zdecydujesz się przyjechać. Prosił o to. I żebyś zadzwoniła tam jutro rano. Tu jest numer – dziadek sięgnął do kieszeni i podał małą kartkę – zapisałem ci tutaj...

– Niepotrzebnie. Niech tatuś zniszczy. Patrzyła teraz na mnie, a ja nie odwracałem głowy.

- Może jednak trzeba zadzwonić? – powiedział dziadek.
- Nie.

Ten park, przez który idę, co chwilę jest inny, jakby to nie był jeden, ale wiele różnych parków sklejonych ze sobą jesienią. Kończy się jakaś aleja i zza kępy krzewów wyłania się zupełnie nowy widok, potem znów inne drzewa, i kolory różne od tamtych przed chwilą, i nawet trawa całkiem inna. I jeszcze jeden zakręt, i jeszcze jedna alejka niepodobna do poprzedniej. Wiele różnych twarzy ma ten park jesienią.

XIII

Najczęściej na początku wakacji przyjeżdżaliśmy do Łazienek autobusem, w lipcu autobusy w Warszawie są prawie puste i zawsze znalazło się dla dziadka miejsce siedzące. Ale kiedy czuł się słabo, braliśmy taksówkę. I coraz więcej było tych taksówek, za które zawsze płaciła Irmina. Nie widziałem w tym nic dziwnego, byłem pewien, że bierze pieniądze z domu na wszystko, czego nam w ciągu dnia potrzeba.

Aż kiedyś przyszła do nas, do parku, Czeremcha w zielonym, obcisłym swetrze Irminy. W pierwszej chwili nie zorientowałem się, dopiero kiedy Zawistowski zapytał:

– Nie za ciepło ci przypadkiem?

– I tak go zdejmnę do opalania... A zresztą zapowiadali ochłodzenie, ja wierzę w Wicherka.

Teraz i dziadek spostrzegł ten sweter, spojrział zdziwiony na Irmę.

– Zamieniłyśmy się, dziadku...

Chciałem wymyślić jakiś pretekst, żeby którąś z nich odwołać na bok. Siedzieliśmy na pagórku alpinarium, czy jak to się tam nazywa, zasłonięci krzakami, niedaleko Teatru na Wyspie. Słońce było ostre, na jednej ławce opalały się dziewczyny, na drugiej dziadek grał w szachy z Zawistowskim.

– Która pójdzie ze mną na wodę sodową? Babka z saturatorem stoi przy pałacu. Irma? Irmina podała mi dziesięć złotych.

– Przynies i nam. Trzy bez soku.

– To znaczy, że już mnie z nim wysłałaś – powiedziała Czeremcha i podniosła się z ławki. – Niech będzie, mogę iść. Ale wezmę koszulę któregoś z was. Przecież nie będę wciągała swetra...

– Nie ta! Druga tam leży – Irmina wyjęła jej z ręki koszulę Zawistowskiego i spokojnie odwróciła się do słońca.

Szliśmy ocienioną alejką przy teatrze. Katarzyna wpychała moją koszulę w spódnice i narzekała:

– Przecież za długa, wyjdzie mi dołem... Tamta była lepsza, bo on jest niższy.

– To nie gnieć mi koszuli i nie wpychaj gdzieś tam, bez sensu. Zapnij guziki i wypuść ją na wierzch.

– Myślisz? Może i racja. Będę wyglądała jak w szlafroku... tylko jeszcze pasek by się przydał. Może dasz? Marek! Widziałeś?

– Co?

– Jak mi wyrwała koszulę Zawistowskiego? Wariatka. Zazdrosna taka? Ja – ci mówię, że Irmina mocno go chwyciła... dobrze wyglądała? No, powiedz.

– Dobrze wyglądasz. A może raczej on do niej się przyczepił...

– Daj pasek. On do niej, czy na odwrót... jaka różnica? Razem ich naszło. No i co, nie upilnowałaś. A tak się wiosną bałaś Markońca, pamiętasz?

– Nie pamiętam. Nikogo się nie bałem.

– Markoniec był do kina i na pokaz. Taka ładna dziewczyna jak Irma musiała mieć jakiegoś chłopaka, bo nie opędziłaby się przed innymi. Trafiło na Markońca, bo spokojny

i niczego od niej nie chciał. A wyście się wszyscy na niego rzucili...

– Kaśka, co ty właściwie chcesz mi powiedzieć?

– Nic. Każdy z was sam najlepiej wie swoje. Zanim poszło o te wasze mecze, to taki Kmita już od dawna nie mógł patrzeć na Markońca. Od tamtej prywatki. Mówiłam ci kiedyś. A kto tam dojdzie, od kiedy Zawistowski się w niej kocha? Ona może wie...

– Idiotka.

– Irma? Dlaczego?

– Ty.

Podeszliśmy do wózka z wodą sodową,

– Wypijesz dwie?

Katarzyna kiwnęła głową.

– Cztery z sokiem proszę. Na miejscu. Z wiśniowym. I trzy bez soku, zaraz odniosę szklanki, wezmę tylko tam, w te krzaki...

– W żadne krzaki. W krzaki nie ma! – powiedziała sprzedawczyni. –... Tylko na miejscu. W krzaki to dziewczuchy, a nie moje szklanki. Nic z tego.

– On zaraz odniesie. Biegiem. A ja zostanę w zastaw. No? – spytała Kaśka. – Zła jestem na zastaw? Zgoda, tak?

– Co ty masz na sobie? – dziwiła się kobieta.

– To jego koszula. Taka moda.

– Dobrze wy wszystkie teraz jesteście, nie ma co... No, bierz te trzy wody i leć.

– Jak ja wezmę trzy szklanki?

– To weź dwie. Trudno... – powiedziała Czeremcha. – Zakochani wypiją na spółkę, po połowie.

Szybko wróciłem. Zapłaciłem za wszystko i podeszliśmy z Katarzyną do stawu. Dzieci karmiły karpie i łabędzie. Z pałacu wychodziła jakaś wycieczka. Patrzyliśmy na wodę.

– Szkoda, że nie mam jakiejś bułki. Pokarmiloby się zwierzynę. Marek, spójrz, jak te ryby śmiesznie otwierają dzioby...

– Ryby nie mają dziobów, wiesz? – zwrócił jej uwagę mały chłopiec, który stał obok.

– Tylko mają pyszczki, a ptaki mają dzioby...

– A ty? Też masz dziób, jeszcze jaki!

– Spływaj, bracie... – powiedziała Katarzyna. A do mnie: – Słyszałeś? Jakiś mały Zawistowski nam rośnie. Już wiem. Kup herbatniki, pokarmimy trochę. Co?

– Herbatniki za szybko rozmiękają. I nie mam już pieniędzy.

– To tak mów. A nie, że rozmiękają. Oczekałem chwilę.

– Kaśka! Ile dałaś Irminie za ten zielony sweter?

– Trzysta złotych. Chciała trzysta pięćdziesiąt, ale wytargowałam. Mówiła, że potrzebuje pieniędzy. Dobrze mi w nim?

Nie odpowiadałem.

– Coś ci się nie podoba? Między dziewczynami tak się robi. A zresztą, on był za obcisty dla niej. Piersi jej sterczały do przodu, że nie wiem. Wszystkie chłopcy oglądały się za nią na ulicy.

– Za tobą nie będą...

– Myślisz? Nie bądź taki pewny. A Irma wyglądała w tym swetrze, jak... wiesz, jak kto. Chodź stąd, wracamy do nich. Zdenerwowałeś mnie. Po co ja tu w ogóle...

Czeremcha urwała. Spojrzałem na nią.

– No, dokończ.

– Nie chcę.

Szliśmy powoli.

– Kiedy jedziesz na wakacje? – spytałem.

– Za parę dni. Właśnie chciałam ci powiedzieć dzisiaj. Kuzynka mnie bierze do Świ-

noujścia. A wiesz gdzie? Na obóz studencki.

– Winszuję.

– To znaczy mam mieszkać prywatnie u znajomych ojca, ale będę właściwie cały czas z tymi na obozie. Wiesz, jak to jest. Cieszę się, bo to są obozy artystyczne. Tam jest co roku festiwal studencki. Moja kuzynka bierze udział w konkursie piosenkarskim, ona jest z politechniki...

– A ty będziesz mówiła tym studentom, że skąd jesteś?

– Będę mówiła, że jestem przed maturą. A co, to nieprawda?

– Prawda, że przed.

– No, widzisz.

Mijaliśmy już Teatr na Wyspie. Do naszych krzaków jeszcze tylko parę kroków. Czeremcha przystanęła.

– Marek. Z nami nie było nigdy tak...

– Jak nie było?

– Tak jak jest z nimi.

– Z kim, Kaśka?

– Z Irmą i Zawistowskim. Zrozumiałam, że ze mną nie było tak nigdy. A ty?

– Co ja?

– Jak ty myślisz?

– Przecież i tak ci nie powiem.

– No, widzisz.

Podeszliśmy do naszych ławek. Irmina opalała się, a Zawistowski właśnie przesuwiał jakąś figurę na szachownicy.

– Szach.

– Uważaj na królową – powiedział dziadek. – Cofnij ten ruch.

– Nie cofaj – odezwała się Irmina, nie otwierając oczu. – Niczego się nie da cofnąć.

A sam dziadek kiedyś mówił, że szachy naśladują życie. Prawda, dziadku? Ale na królową uważaj. Marek, pomóż mu.

Przyjrzałem się sytuacji na szachownicy. Zawistowski patrzył na mnie wyczekująco.

– Cofnąć?

– Graj honorowo. Tym bardziej, że już leżysz.

– Straciłeś królową? – oburzyła się Czeremcha. – Bałwan szachowy jesteś.

– Nie stracił, tylko od królowej dostał mata.

– No, to co innego – powiedziała Katarzyna. – On to lubi.

Spojrzałem na Irminę: uśmiechnęła się lekko. Zawistowski złożył szachy.

– Może dziadek się trochę przejdzie? – zaproponowałem.

– Raczej nie. Przecież niedługo i tak już stąd pójdziemy. Będę musiał przejść ten kawałek do bramy...

Stałem trochę z boku i ponad krzakami patrzyłem na staw. Przy, Teatrze zatrzymała się grupa ludzi, pewno ta sama, którą widzieliśmy wychodzącą z pałacu. Wyglądali na zagraniczną wycieczkę. Śmieszne kapelusze i czapki, mimo upału, aparaty fotograficzne, filmowe kamery. I przedziwne krawaty i muszki. W pewnej chwili doszły stamtąd podniesione głosy i ze zdziwieniem spostrzegłem wśród turystów starego Orzechowskiego. Machał rękami i wykrzykiwał niezrozumiałe dla mnie pojedyncze słowa.

– Coś podobnego! Słyszycie? Pilaster rozrabia! – powiedziałem. – Zaraz go naleją.

Tylko po jakimu on krzyczy?

– Antek? – ożywił się dziadek. – Jeśli wściekły, – to pewno przeklina po grecku. Zawsze to dawniej robił. Idź no tam i zobacz, o co chodzi. W razie czego wołaj – Zarzuciłem koszulę Zawistowskiego i wyskoczyłem z krzaków na ścieżkę.

– Panie profesorze! – zawołałem. – Co się dzieje?

Poznał mnie z daleka.

– Sam jesteś?

– Nie! Mamy tu w krzakach cały szwadron. No, co? Wołać?

Zamachał rękami.

– A zna tam ktoś wśród was jakiś barbarzyński język? Bo nie mogę się dogadać.

– Jaki? – spytałem.

– Jaki bądź. Skąd mogę wiedzieć? Nie odróżniam...

Zawróciłem.

– Dziadku, jaki język jest dla Orzechowskiego barbarzyński?

– Idź tam, Inka. Pomóż staremu – śmiał się dziadek. – To pewno Niemcy.

– Albo Amerykanie... – mruknął Zawistowski. – Ja pójdę, nie będzie się przecież ubierała. Czeremcha, ściągnij koszulę Marka. Szybko!

– Ale prędko do rozbierania! – roześmiała się Katarzyna. – Irma, słyszysz? Kto go tego nauczył, bo dawniej taki nie był. Dobrze pamiętam...

Dziadek spojrział na nią z ukosa, bardzo mu się to nie spodobało.

– Nie wyszło ci, Kasiu – powiedziała spokojnie Irmina. – To nie było śmieszne.

Podeszliśmy z Zawistowskim do Teatru. Wycieczka zamilkła na nasz widok, nie wiedzieli, o co chodzi. A my też nie.

– Wytlumaczcie tym Wizygotom czy Innym Wikingom, że te strzaskane kolumny na scenie teatru od urodzenia są strzaskane, a nie dlatego, żeśmy je zapomnieli odbudować po wojnie. One mają być strzaskane! – gorączkował się Pilaster.

Zawistowski wkroczył do akcji ze swoją angielszczyzną i nawet jakoś go zrozumieli.

Kiwali głowami, ktoś tam sięgnął po kamerę zaczęli coś mówić.

– Pytają, dlaczego muszą być strzaskane?

– To im powiedz.

– Ale nie wiem...

– Rany boskie! – jęknął Pilaster i spojrział na mnie z rozpaczą: – Słyszałeś?

– On wie – pocieszałem starego. – Tylko nie wie, jak to powiedzieć po angielsku. Powiedz, że imitacja i już!

XIX

Odnalazł się przewodnik.

– Panowie mi przeszkadzają pracować! Co tu się w ogóle dzieje? Nawet na chwilę nie można odejść...

– Pan sobie odchodzi, a oni mnie zaczepiają, pokazują na te stylizowane greckie ruiny i pytają: „bum, bum?” Coś takiego! Nie może pan się w domu wysikać i nie zostawiać tu grupy samej?

Nagle Zawistowski wykrztusił jeszcze po angielsku jakieś zdanie, po którym przewodnika zamurowało, a turyści, jeden po drugim, zaczęli podchodzić do Pilastra i ścisnąć mu dłoń. Kiedy wreszcie odciągnęliśmy starego na ścieżkę, zapytał Zawistowskiego:

– Coś ty im tam wydusił z siebie na końcu?

– Powiedziałem, że pan profesor jest wiceministrem kultury. Bardzo się ucieszyli. To wycieczka towarzystwa śpiewaczego z Odense. Duńczycy. A co, źle?

– Dobrześ zrobił! – pochwalił go Pilaster. – Skoro się ucieszyli... Tylko jeśli już, to dlaczego wice?

– Tam, w krzakach siedzi mój dziadek – powiedziałem. – Zajrzy pan?

– Dlaczego siedzi w krzakach? – zdziwił się Orzechowski. – I w ogóle co wy tu robicie podczas wakacji w tym Mieście Pokonanym...

– Niepokonanym.

– Przez kogo nie pokonanym, to nie pokonanym, nie pouczaj mnie. Ale za to pokona-

nym przez spaliny. Dlaczego nie wyjechaliście? Zawistowski?

– Jadę w sierpniu.

– A ty?

– Przecież dziadek chory...

– A jak on się czuje?

– Zobacz pan.

Orzechowski przystanął.

– Bardzo źle? Bo jeśli tak, to nie chcę go widzieć... Rozumiesz mnie?

– Nie rozumiem – powiedziałem. – Ale dziadek już wie, że pan tutaj jest.

– To co innego. Chodźmy.

Na pagórek prowadziły dwie ścieżki. Z tej, którą teraz szliśmy, najpierw ukazały się wyciągnięte, długie nogi obu dziewczyn i obok dziadek, pochylony, z łokciami opartymi na kolanach.

Pilaster zawołał:

– Co za widok! Hammurabi wśród nimf kreteńskich. Prędzej bym się spodziewał zobaczyć cię na słońcu, stary koniu!

– Pomyliłeś dwie epoki... – uśmiechnął się dziadek. – Nimfy i Hammurabi?

Czeremcha zerwała się z ławki.

– Panie profesorze! Dlaczego pan nas brzydko przezywa?

– Ja was brzydko przezywam? – zdumiał się Pilaster i spojrzął na Zawistowskiego. –

Możesz mi wyjaśnić, o co się obraża to rozebrane stworzenie?

– Ona się przesłyszała – powiedziała wtedy Irmina i roześmiała się głośno. –; Pan profesor mówił o nimfach z Krety, Kasiu. Z wyspy Krety. Przy naszej wadze to chyba komplement...

I nagle spostrzegłem, jak zmienia się twarz starego. Wpatrywał się w Irmę z dziwnym napięciem, przymknął oczy i znowu je szeroko otworzył, wydawało mi się, że trwa to bardzo długo... A Irmina uśmiechała się do niego, nie zdając sobie sprawy, co się dzieje.

– Siadaj, Antek... – usłyszeliśmy spokojny głos dziadka i stary jakby się ocknął. – Siadaj sobie tu, koło mnie. Więc jeszcze pamiętasz? – Pomyliłem epoki... – szepnął Pilaster. – Tak. Masz rację,

– A ja naprawdę usłyszałam „kretyńskie”, a nie „kreteńskie”, słowo daję... – zaczęła swoje Czeremcha, ale nikt nie zwracał na nią uwagi.

Zawistowski odciągnął mnie parę kroków.

– Co mu się stało? Nie wiesz?

– Przecież słyszałeś.

– Co słyszałem?

– Że się zderzył z inną epoką. Pomylił czas i twarze... jakoś mi żal starego, choć nie bardzo wiem czemu.

– Nic nie rozumiem.

– Irma jest podobna do naszej babki. Widocznie bardzo podobna. A coś tych ludzi musiało łączyć. Nie wiem, co.

– Irmina wie o tym?

– O czym? Że podobna? Wie” oczywiście. Ale o Pilastrze na pewno niczego nie wie.

Przecież inaczej by się zachowała. Ona się w ogóle nie zorientowała, co się ze starym dzieje. Zawistowski zamyślił się przez chwilę.

– Dziwne to wszystko.

– Co?

– Wszystko.

– Może i dziwne – zgodziłem się.

– A z tymi nimfami na przykład. Skąd ona wiedziała? Prawdę mówiąc ja też usłysza-

łem tak, jak Czeremcha.

– Książki trzeba czytać, Zawistowski. Wiesz? Książki. Skąd wiedziała? Pewno od dziadka. Albo ma słuch lepszy od nas, bo młodsza...

Kiedy po kilkunastu minutach Pilaster żegnał się z nami, nie był to już ten sam zaczepny stary dziwak, który chciał Duńczykom po grecku wytłumaczyć antyczne stylizacje Króla Stasia w jego Teatrze na Wyspie. Przygarbił się jakoś, jakby skulił w sobie. Miałem wrażenie, że jest teraz starszy od dziadka, dużo starszy.

– Jak masz na imię? – spytał Irminę.

– Tak samo, jak ona – odpowiedział dziadek, zanim Irma zdążyła się odezwać.

– No tak, oczywiście... – Pilaster po–; kiwał głową. – Do widzenia, Ina. Bądź zdrowa.

– Na małą mówimy Inka – poprawił go dziadek.

– A ty się, stary, trzymaj – powiedział Orzechowski odwracając się od Irminy. – Będziesz się trzymał?

– Spróbuję. Ty też się trzymaj...

Dziadek uśmiechnął się i podali sobie ręce.

– Odprowadzę pana profesora! – zawołałem nagle, kiedy już prawie dochodził do Teatru – i zbiegłem za nim.

Chyba wtedy jeszcze nie wiedziałem, po co to robię, i on też przecież nie wiedział, ale nie zdziwił się i nie kazał mi wrócić. Szliśmy obok siebie i nikt się nie odzywał. Ale gdy już padły pierwsze zdania, następne potoczyły się za nimi jakby same, bez naszego udziału, dziwnie łatwo.

– O co chcesz spytać?

– Jaka ona była?

– Bardzo piękna. A może nawet nie? Ale wyjątkowa była, niezwykła. Nie potrafię powiedzieć. Po co ci to?.

– Chciałbym wiedzieć. Potrzebne mi teraz. I dziadek jaki był. Nic nie wiadomo...

– Niech wam się lepiej zdaje, że wszystko zaczyna się od was. Jacy byliśmy? Inni niż dzisiaj jesteśmy. Inni niż wy. A w gruncie rzeczy pewno tacy sarni. Tylko już teraz nie potrafimy tego dostrzec ani zrozumieć. I chyba nawet nie chcemy.

– Dlaczego tak?

– Każdy ma taką jedną szufladkę tylko dla siebie. Zbiera w niej swoje zakurzone skarby. I chce wierzyć, że to, co tam ma, było zupełnie wyjątkowe, że właśnie on jest najbogatszy. Że nikt przed nim i już nikt po nim...

Przerwałem mu:

– Mój dziadek taki nie jest. Teraz to wiem. I coś się nie zgadza, panie profesorze. Kto nam mówił o Akropolu i godzinami kazał przerysowywać każdy szczegół Łuku Tytusa? Żeby „przykleić” nam się na siatkówce... Tak pan mówił, prawda? A teraz? Własna szufladka i nic przed nią, i nic po niej. Więc w ogóle nigdy nie było Rzymu Marka Aureliusza? Jeśli tak, to i nas nie ma.

– Pamiętasz tę lekcję?

– Właśnie. I co?

– Nie rozumiemy się dzisiaj... zostaw mnie i wracaj do nich.

– Już się z dziadkiem nie zobaczycie?

– Nie.

Cisza. Słyszać tylko nasze kroki. Nie wiem, dlaczego przyspieszamy obydwaj.

– Jak z nim właściwie jest? Chyba już bardzo źle. Miał być operowany... był?

– Nie. Wrócił nagle ze szpitala. Tuż przed operacją. Zrezygnował z niej i wrócił do domu.

– Dawała jakąś szansę?

– Nie..

– Więc dlatego...

– Nie dlatego wrócił.

– Skąd wiesz? Pytałeś go?

– Pan uważa, że powinienem spytać?

– Nie – odpowiedział po chwili. – Oczywiście, że nie. Ja bym też nie zapytał. Ale dlaczego wrócił? Tak mu zależało na tych paru tygodniach? Nie mogę uwierzyć. Na tych kilku tygodniach cholernego bólu? Przecież on dobrze wie, że oprócz tego bólu, który go jeszcze czeka, wszystko już dawno mamy za sobą. I on, i ja... Wszystko już się dawno skończyło.

– A może to wcale nie jest tak? I właśnie on wie o tym, a pan się myli, panie profesorze.

– Co chcesz powiedzieć?

– Nie schodzi się z boiska, kiedy ma się już dość, i tylko dlatego. Do ostatniego gwizdka, do ostatniego gongu zawsze jeszcze można wygrać. Może to tak jest?

– Wygrać?

– Coś można wygrać...

– Co?

– Nie wiem. Myślałem, że pan mi powie. A może on wrócił, żeby nas jeszcze czegoś nauczyć? Choćby właśnie tego. Panie profesorze...

– Co?

– Chyba nie tylko tego. Chciałem spytać... pan go dobrze zna, prawda?

– Chyba tak. Pół wieku.

– Więc chciałem pana spytać, czy on się teraz boi?

– Czego?

– Pan dobrze wie, czego – Każdy się chyba boi?

– Nie. Nie każdy.

– Ciągle o tym myślę.

– Nie wolno. Trzeba się zachowywać zwyczajnie, jakby nigdy nic. Nie ma lepszego sposobu.

– Wiem. Tak robimy. Ale już coraz więcej tych zastrzyków przeciwbólowych. Co będzie za miesiąc, dwa? Dlaczego pan się już nie chce z dziadkiem zobaczyć?

Orzechowski przystanął.

– Ja nie będę umiał się uśmiechać do niego. Rozumiesz? Już nic mu nie mam do powiedzenia, czego by sam nie wiedział. Nie chcę go takiego widzieć...

– Bo pan się boi. Rozumiem. To pan się boi, panie profesorze... Zawróciłem. Szedłem powoli i myślałem o tym strachu. Czym go można pokonać? Ktoś chyba wie. Nie jestem pierwszym, który o tym myśli, i nie jestem ostatnim. Teraz idę tą samą aleją. Nie ma tamtego upału, jesienne słońce ledwo przypomina nasze wakacje, które tak strasznie długo trwały, a teraz kurczą się do paru spojrzeń w różne twarze tego parku. Nie ma już we mnie strachu, wypalił się do bólu. Pewno kiedyś wróci znajomym, wstrętnym skurczem gardła, wiem o tym. Ale teraz wiem również, że jednak można go pokonać, przecież można.

Kasztany lecą z drzew, pękają dojrzałe, kolczaste kule. Zwyczajna rzecz, przyszła po prostu ich pora. Jeśli śmierć jest czymś zwykłym, nie ma rzeczy niezwykłych. Idę przez park szukając mojej siostry, która musi tu gdzieś być. Powiem jej to, co ona sama dobrze już na pewno wie, co przeczuwa. Zabiorę ją do domu, gdzie czeka na nas mama, musimy być dzisiaj razem, wszyscy troje. I znów trzeba się będzie uśmiechać, przecież zdążył nas tego nauczyć, zanim nadeszła jesień.

XX

Na łazienkowskiej skarpie widzę z daleka czerwony płaszcz Irminy i ona mnie już do-

strzegła. Schodzę więc ze żwirowej alejki, idę na przełaj pod górę i gęsta trawa tłumi teraz moje kroki. Przestają je słyszeć, rozpada się klatka tamtych dni i godzin, pachną żółknące liście. Pod drzewami małe dzieci zbierają kasztany, a Irmina z nimi. Dzieci nawołują się, śmieją w głos i hałasują, ale nie drażni mnie to, czuję spokój wśród tych drzew. Czuję spokój, który jest we mnie.

– Nic nie mów...

Irma wyciąga przed siebie ręce pełne lśniących, wilgotnych kasztanów, które nie mieszczą się w dłoniach i spadają jej na trawę, tyle ich jest.

– Nie mów, Marek – powtarza. – Spójrz, jakie piękne. I każdy zupełnie inny, każdy ładniejszy od drugiego, można tak zbierać bez końca...

Zadzierając głowę do góry, patrzy na nas mały chłopiec, bardzo mały. Zaciśniętą mocno rękę wyciąga do Irminy, otwiera buzię i marszczy czoło, jakby chciał powiedzieć coś bardzo ważnego.

– Pokaż, co tam masz? – prosi Irmina. – No, pokaż mi... Tylko taki malutki znalazłeś? Oddaje mu swoje kasztany, po jednym, i mały cieszy się, upycha je po kieszeniach i wyciąga rękę po następną.

– Już ci wystarczy – mówi Irma – przecież nie masz gdzie chować. Resztę dostanie ten duży chłopiec, dobrze?

Mały kiwa głową, a ja uśmiecham się do Irminy. Wychodzimy z parku.

– Wiesz – mówi nagle Irma na przystanku, kiedy czekaliśmy na autobus – takie małe dzieci to jest jakiś zupełnie inny świat. Nie uważasz?

Zupełnie nie wiem, co ma na myśli, po prostu nie rozumiem jej. Czekam, co powie dalej.

– Zupełnie inny – powtarza. – Jakby inna planeta. Teraz mi to przyszło do głowy. Może szkoda, że nie wcześniej. Więc nasz dziadek tak patrzył na nas, jak ja na tego małego z kasztanami?

– Chyba nie tak – mówię. – Różnica wieku była pięć razy większa, jeśli o to ci chodzi.

– Nie tylko o to. Aż pięć razy... to strasznie dużo. Ale chyba nie wszystko da się zmieścić latami? Słuchaj... czy on się nas nie bał?

– Ten mały? – Przecież widziałaś, że nie.

– Myślę o dziadku – powiedziała Irmina. ...

Nadjechał autobus, zatłoczony jak zwykle o tej porze, ludzie zaczynali wracać z pracy. Kiedy wysiedliśmy niedaleko domu i szli pomału w jego stronę” Irma przystanąła na moment.

– Bo ja się chyba boję małych dzieci, wiesz? Jakoś tam się trochę boję...

– Masz jeszcze czas bać się ich, masz kilka lat czasu. Nie spiesz się.

– Nie żartuj, Marek. No, chodź. Dlaczego stoimy?

Wzruszyłem ramionami: nie wiem, dlaczego stoimy. Poszliśmy dalej. Co ją gryzie – zastanawiałem się – o czym ona myśli?

– Może nie będą nas kochały? – powiedziała nagle – chyba właśnie tak: nie będą nas kochały. Bo nie powiemy im, jacy jesteśmy i jacy byliśmy naprawdę. Naprawdę, rozumiesz? A my będziemy do nich mieli żal, że inaczej nam wyszło, niż chcieliśmy, i wszystko muszą po nas poprawiać...

– Rozmawiałaś o takich sprawach z dziadkiem? Musiał ci coś mówić... tak?

– Trochę. Chyba za mało, nie starczyło czasu. I już z nim nie rozmawiam. Więc z kim?

– Myślę, że trzeba dużo czytać. Mówiłem to Zawistowskiemu. Chyba nie ma innej rady...

– No, to czytajcie – przerwała mi – bardzo dobrze, czytajcie obaj. Żebym miała kogo zapytać, jeśli będzie trzeba.

– Teraz ty żartujesz sobie ze mnie – powiedziałem.
– Wcale nie. Pamiętasz „Małego księcia”? Ja wiem, że dziadek kupił wtedy tę książkę, żeby odpowiedziała nam na różne pytania...
– Których nawet nie umieliśmy ani jemu, ani sobie postawić. O przyjaźni i o miłości. O śmierci. I o życiu, w ogóle o życiu.
– Może nie przyszły nam jeszcze wtedy do głowy? Byliśmy przecież młodsi o te długie kilka miesięcy, Marek. Młodsi o te kwitnące akacje i o te kasztany...
Pod samym już domem powiedziałem do Irminy:
– Ty wcale nie boisz się małych dzieci. I nie będziesz ich się nigdy bała, Irma. Będą cię kochały. Wiesz dlaczego?
– Może wiem.
– I wcale nie musi być inaczej, niż będziemy chcieli. Tamtego dnia, w szpitalu, kiedy do ciebie dzwoniłem, myślałem sobie: co tu zależy ode mnie, od nas? A potem ty zdecydowałaś: weźmiemy to na siebie. I teraz wiem, co zależy od nas.
Spojrzała na mnie z uwagą, jakąś wielką uwagą, jak nigdy.
– Co, Marek?
– Teraz wiem: wszystko. Tak naprawdę to wszystko.
– Może.
Mijały dni, jesień coraz bardziej szarzała i wszystko powoli wracało do swoich codziennych, zwykłych kolorów. Kasztany przyniesione wtedy z Łazienek leżały na oknie i nikt ich nie sprzątał. Przeprowadziłem się do pokoju dziadka i właśnie tam leżały na oknie, koło małej lampki, która jak zawsze, odkąd pamiętam, dawała wieczorami ciepłe, żółte światło.

XXI

Moje stare, składane łóżko, które dziadek nazywał zdobyczym, bo zostało mu z pierwszych powojennych tygodni, powędrowało do piwnicy. A do kuchni przenieśliśmy całe gospodarstwo Nory. Sporo z nią teraz było kłopotu, miała małe, które rosły szybko, bałaganiąc po całym mieszkaniu.

– Oj, szczeniaki, szczeniaki. Co ja, z wami mam? – narzekała co dzień Irmina, wracając ze szkoły. – Znowu pół godziny sprząwania. Nora, jak ty je wychowujesz, co?

Nora wyskakiwała do góry, jak dawniej cieszyła się, kiedy przychodziliśmy do domu, i biegła po swoją smycz, żeby wyjść na spacer.

– Ona już się nie interesuje tymi pieskami – uznał któregoś dnia Zawistowski. – Najwyższy czas oddać je komuś, już są duże. Słyszycie?

– Marek, powiedz temu panu, żeby się przestał rządzić! – zawołała z kuchni Irmina.

– Przestańcie się rządzić, Zawistowski – powiedziałem. – Komu je mamy oddać, nie wiesz czasem?

– Może jednego damy Kmicie?

– A co, on by chciał psa?

– Pojęcia nie mam, ale można mu przecież wmówić. Zanim się kapnie, o co chodzi, już będzie miał pięknego, czarnego pudła.

Roześmiałem się głośno.

– Znowu zaczynasz swoje numery...

– Kmicie nie oddam, bo Nora go nie lubi – zdecydowała Irmina. – Nie można jej robić na złość. Sprawa upada.

– Pomyślimy o innych. Czemu nie? – mruknął Zawistowski. – Tylko nie wychodźcie wieczorem z domu.

Przyszli we trzech: Zawistowski, Markoniec i Kowal. W pierwszej chwili chyba wszyscy czuliśmy się trochę nieswojo, nie było o czym mówić, każdy nadrabiał miną. Co innego jednak widywać się w szkole, a co innego spotkać się tutaj, właśnie u nas w domu.

W pewnym momencie, kiedy Irmina wyszła przygotować herbatę, postanowiłem zaryzykować.

– Dobry pretekst wymyśliłeś, Zawistowski – powiedziałem. – Znowu nas zaskoczyłeś. Tylko powinien tu być jeszcze Kmita...

– Tak – przyznał Kowal. – Ja też tak myślę.

– Nie.

Spojrzelśmy wszyscy na Markońca.

– Dlaczego uważasz, że nie?

Uśmiechnął się.

– Muszę odpowiedzieć?

– No... – mruknął Kowal. – Jakby to określić? Musisz, nie musisz. Ale jednak może warto, co?

– Nie warto. Ale powiem. Bo wy chyba nie znacie Kmity...

– My nie znamy? – zdumiał się Kowal. – Żartujesz.

– Kmita nie umie przegrywać. Po prostu nie potrafi – powiedział Markoniec. – I to jest cała jego tajemnica. On wcale nie jest taki zły, jak wam się zdaje...

Kowal spojrział na mnie, ale szybko rozmyślił się, nic nie powiedział.

– A ja? – spytał Zawistowski.

– Co ty?

– Co powiesz o mnie, Markoniec?

– Możesz poczekać jeszcze rok albo dwa?

– Nie rozumiem...

– Ja ciebie mało znam. My wszyscy właśnie ciebie najmniej znamy. Poczekaj jeszcze jakiś czas na odpowiedź, dobrze?

– Jeden do zera – podsumował Kowal. – Załatwił cię, Zawistowski, w ładnym stylu. Przyznaj!

– Przyznaję – powiedział spokojnie Zawistowski. A do Markońca: – Zrozumiałem.

Dajesz mi szansę...

– To Irma dała ci szansę. Ja się tylko przyłączam... – i Markoniec znowu się uśmiechnął. – A ty, Marek?

– Ja już się przyłączyłem.

– Coś was chyba przestaje rozumieć – zmartwił się Kowal. – Ale niech tam... Koniec rundy, tak? Więc gong.

Irmina stanęła w drzwiach..

– O czym mówicie?

– O sporcie, jak zwykle – wyjaśnił jej Kowal.

Roześmieliśmy się wszyscy. Zawistowski wstał.

– Nawet nie myślałem, że tak dużo sobie powiemy. No, więc kto chce psa, panowie?

Komu szczeniaka, bo idę do domu?

– Gdzie się spieszysz? – zdziwił się Kowal.

– To było na rymie, ofiaro. Komu, do domu. Bierzesz psa?

– Chętnie.

– Ja też – powiedział Markoniec. – A ile ich macie?

– Trzy.

– To kto weźmie trzeciego?

– Ja nie mogę – powiedział Zawistowski. – Tłumaczyłem już Irminie, że w domu mam klimat nieprzychylny, mówiąc delikatnie.

– No, to trzeci zostanie z Norą – uznała Irma. – Pijcie herbatę, bo stygnie...

Ale trzeci pies był u nas jeszcze tylko kilka dni. Pętał się po wszystkich kątach, szarpał i gryzł, co się dało. Raz wesoły, kiedy indziej wciskał się między tapczan i ścianę

i siedział tam, nie wiadomo czemu, jakby miał żal do całego świata.

Po prostu szczeniak – myślałem sobie, patrząc na niego. Gryzie kogo popadnie, łasi się, piszczy, szczeka, wszystko nie w porę. Sam nie wie, o co mu chodzi, kto swój, a kto obcy, sam nie wie, czego chce. Czasem zupełnie bezradny, zagubiony na tym wielkim świecie, bezbronny. A czasem gryzie na oślep... Szczeniak. Ale urośnie.

Zadzwoń do Ewy. O jej numer poprosiłem Irminę. Zdziwiła się bardzo.

– Ty ją znasz, Marek?

– Tak.

– Myślisz, że ona chce, żebyś zadzwonił?

– Tak myślę.

– To mało. Pewny jesteś, że ty chcesz? Bo jeśli nie, to chyba lepiej, żebyśmy zostawili ją w spokoju... Dość przeszła. Więc jak, dać ci ten numer?

Zadzwoń.

– Ewa?

– No, nareszcie... – powiedziała.

– Mam coś dla ciebie. Jeśli zechcesz. Coś żywego, czym się trzeba opiekować i co rośnie. Jeszcze jest małe, ale ładne. Jeszcze się nawet nie nazywa. Chcesz?

– Marek... – podpowiada mi szeptem Irmina – przecież ona w ogóle nie wie, o co ci chodzi...

– Ewa! Moja siostra uważa, że mówię od rzeczy.

– Wcale nie mówisz od rzeczy. Słucham dalej...

– Więc chcesz?

– Chcę.

– To przyjeżdżaj do nas. Tylko szybko, żebyś się nie rozmyśliła. Bo to jeszcze zupełny szczeniak...

Ewa roześmiała się i odłożyła słuchawkę. Ja też. A Irma popatrzyła na mnie przez moment bez jednego słowa, potem pokręciła głową i powiedziała:

– Kto by pomyślał? Zawistowski zemdleje, jak mu opowiem. Zaskoczyłeś nas, Marek.

Dotychczas ukazały się „portrety”:

Krystyna Siesicka - Agnieszka

Krystyna Siesicka - Łukasz

Krystyna Siesicka - Katarzyna

Janusz Domagalik - Mark

Aleksander Minkowski - Artur

Janina Barbara Górkiewiczowa - Izydor

Jerzy Broszkiewicz - Onaiona

Ewa Nowacka - Jasiek

Halina Snopkiewiczowa – Joaśka

Poznajcie się: to jest Irmina, to Marek, Artur, Agnieszka, Łukasz, zresztą będzie ich jeszcze więcej... Literackie portrety tych dziewcząt i chłopców stworzyli znani i lubiani przez Was autorzy. Nasi bohaterowie mają po piętnaście, szesnaście lat, bardzo różne zainteresowania, charaktery i postawy — tak jak to bywa wśród nastolatków. Nie wiadomo jeszcze na pewno, ile portretów i... problemów, które niesie ze sobą współczesność, zaprezentujemy Warn w tej serii, ale mamy nadzieję, że tych nowych znajomych dobrze poznacie, zrozumiecie

i... polubicie. A może znajdziecie wśród nich kogoś, z kim będziecie się chcieli zaprzyjaźnić

—

— tak naprawdę, na zawsze? A może chwile refleksji nad tą lekturą pomogą Warn choć trochę w

rozwikłaniu Waszych, częstokroć bardzo ważnych i trudnych problemów?